

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 24 GRUDNIA 1927 ROKU

NR 52

TREŚĆ NUMERU: Pisklęta—*Zofja Miszewska*. Wiersz: „O Bożem Narodzeniu”—*Felicja Kruszevska*. Lalka (obrazek wigilijny) — *S. Borowska*, Wigilja rannego — *Jerzy Duhamel*. Profesor (dok.) — *Max Wit*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Grazia Deledda — *Z. R.* Z teatrów — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Kwiaty i życie — *J. S.* Tradycja — *Wanda Dobrzańska*. Co kraj to obyczaj — *Hanna W.* Trwałe choinki — *Inż. J. Lentz*. O sprawianiu i przyrządzaniu ryb — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Bolero — *Well*. Niekosztowna elegancja. Pomysłowe urządzenie. Dodatek powieściowy: „Pomoc tonącym” — *Denise van Moppes* — autoryzowany przekład *Gabryela Karńskiego*. Arkusz wzorów.



„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“!

Te słowa hymnu anielskiego, upamiętniające dzień Narodzenia Boskiego Dzieciątka, niechaj nam będą gwiazdą Betlejemską na drodze ku zespoleniu wszystkich sił w pracy nad odrodzeniem człowieka i społeczeństwa. Niech przy łamaniu się tradycyjnym opłatkiem w domach naszych zagości radość i pogoda, a serca zapłoną prawdziwą miłością bliźniego i dobrą wolą ofiarnego czynu.

Otwórzmy dusze nasze na przyjęcie Nowonarodzonego!

ZOFJA MISZEWSKA.

PISKLETA

W wielkich przemianach życia danego narodu, państwa, czy społeczeństwa, w okresach zrywania ze starą metodą, a zaczynania wszystkiego od nowa, ludzie zazwyczaj wynajdują jakieś wysoko-brzmiące słowa, które wydają się, albo nawet są alfa i omega tych poczynąń; w nich tkwi, albo tkwić ma sanacja, nowa era w życiu, i najprostsza droga do prawdy i do szczęścia. Polska również w swoim odradzającym się życiu odkryła takie słowa, zachłysnęła się ich ważnością, i już nic poza nimi słyszeć nie chciała. Słów takich jest sporo, bo polak łatwo wynajduje sobie ideały, ale nie moją rzeczą jest mówić o wszystkich. Narazie wystarczy mi jedno z nich: „Młodzież”. Oczywiście, nie jest to żadna nowoodkryta prawda, bo dawno już wiemy, że taki będzie naród „jako jej młodzieży chowanie”, —ale że w tem zainteresowaniu się młodzieżą, w powodzi reform szkolnych, klubów, stowarzyszeń, Opieki Rodzicielskiej i Pozaszkolnej —zapomnieliśmy, że uzdrowienie społeczeństwa trzeba zacząć u źródła, zapomnieliśmy o dzieciach, o tych maleńkich biedactwach, które przecież, tak jak i młodzież, często wychowuje ulica, a których śmiertelność, tak zatrwajająca w ostatnich czasach, zabiera Polsce, „największe jej bogactwo”. Tak dzieci w Polsce nazwał marszałek Foch, który dobrze rozumie klęskę wyludnienia swej ojczyzny, a której my nie możemy, czy nie chcemy przewidzieć.

Nie żebyśmy nie kochali, broń Boże! Dziecko zawsze będzie miało najwyższą wartość uczuciową dla swoich najbliższych, ale poprostu usuwamy z naszej myśli o niem element społeczny.

Prawda, ktoś tam czasem o tem pomyśli, coś zdziała—ale ręce mu opadają wobec obojętności społeczeństwa.

Najbardziej palącą jest np. sprawa żłobków dla dzieci i niemowląt.

Dzięki uprzejmości p. Zarzyckiego, kierującego działem Opieki Społecznej przy magistracie m. Warszawy, mieliśmy możność zapoznać się z genezą tej instytucji. Pierwsze żłobki były otwierane przy stacjach Opieki Otwartej, następnie prowadził je magistrat, w ostatnich czasach dopiero przeszły w ręce instytucyj dobroczynnych prywatnych, i są rozrzucone po Warszawie w liczbie 10-ciu.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy brak fundusów i brak odpowiednich lokali. Np. żłobek Św. Antoniego, przy ul. Leszczyńskiej 14-b, mieści się przy schronisku dla dziewcząt im. Św. Teresy.

Ojcowie Salezjanie zabrali schronisku 5 największych sal i przyłączyli je do prowadzonego przez nich internatu dla chłopców. Wobec tego dziewczęta

cisną, się jak mogą, wraz z warsztatami i sypialniami w zbyt ciasnem pomieszczeniu, a dla żłobka pozostał jeden jedyny pokój, gdzie nawet niema miejsca na postawianie łóżeczek, w którychby dzieci mogły przespać wskazaną ilość godzin, niema miejsca na jadalnię.

Przełożona schroniska i żłobka, pani Chęcińska, oprowadzając mię uprzejmie po całym swem królestwie, wtajemniczyła mnie potrochu w swoje społeczne kłopoty. O! rzeczywiście, bezustanne wiązanie końca z końcem: dzieci w żłobku jest około setki, maleństwa od lat dwóch do 7-miu, trzeba je dokarmiać, opłacać ochroniarki, wogóle;—miljon wydatków, a na to wszystko ma się tylko subsydja magistratu i ministerstwa pracy i opieki społecznej, oraz to, co się uezbiera z opłat. Bo niby każda matka ma płacić 4 zł. miesięcznie, ale gdzież tam! biedota często taka, że jej jeszcze przydałoby się dopomóc. Dzielna przełożona jednak mistrzowsko daje sobie radę z przeciwnościami wszelakiego rodzaju, a przedewszystkiem z brakiem mamony. Czyż to nie jest dowodem najwyższej obojętności społeczeństwa, że nie chce jej przyjść z odrobiną pomocy? Przecież żłobki są jedyną rekompensatą, jaką może dać społeczeństwo kobiecie-matce za jej pracę zarobkową, do której zmusiły ją warunki powojennego życia.

Poruszyłam ongi zagadnienie stosunku kobiety do pracy zawodowej na łamach „Bluszczu”, (artykuł: „O wyborze zawodu”), ale podeszłam doń z zupełnie innej strony, mianowicie ze strony entuzjazmu dla kobiecej samowystarczalności. Dziś, choćby mimochodem, chcę spojrzeć na tę sprawę z punktu widzenia życia rodzinnego, a więc: kobieta, zarabkująca poza domem, nie spełnia dostatecznie dobrze (tak!) obo-



Zabawa dzieci w żłobku przy ul. Leszczyńskiej

wiązków matki. Uświadczenie konieczne, choć bolesne, tem boleśniesz, że jednak nie mamy prawa winić tych biednych, stroskanych matek — urzędniczek, nauczycielek, — robotnic, bo zmusza ich do tego troska o chleb powszedni, i wiemy, iż wykonywują swą codzienną pracę z rozdzierającym serce wielogodzinnym niepokojem, czy po powrocie nie wyjdzie do nich z otwartych drzwi mieszkania — nieszczęście.

I dlatego żłobki, zapewniające serdeczną i troskliwą opiekę dziecku w czasie godzin pracy matki, są instytucją wprost nieodzowną. Jest ich, jak zaznaczyłam wyżej, w całej Warszawie zaledwie 10, a dzieci korzysta z nich około 1000. Co to znaczy na ten tłum matek, pracujących i zatroskanych o swój skarb największy! Przytem większość żłobków jest jednego typu — mianowicie żłobki dla dzieci przeważnie robotniczych, w wieku od lat 2—7. Jest, co prawda, żłobek dla dzieci inteligencji przy ul. Złotej 58, ale tylko jeden jedyny; czy nie za mało?

Myszę, że zdanie, jakoby kobiety z inteligencji, pracujące poza domem, były w szczęśliwszym położeniu, aniżeli robotnice — jest złudzeniem. Prawda, że niejedna ma jakąś Kaśkę czy Małgośkę, szturmaka zatraconego, którego opiece niby powierza dziecko; ale co jest warta taka opieka, wiemy, niestety, aż nadto dobrze z codziennej listy nieszczęśliwych wypadków! Gdyby żłobków dla dzieci z inteligencji było więcej, gdyby były dobrze postawione i starannie prowadzone, to niejedna matka pozbyłaby się uciążliwej zmory niepokoju, oddając swoje maleństwo na przeciąg kilku godzin pod pewną opiekę wykwalifikowanej ochraniarki.

Drugą sprawą, oczekującą na wydatną pomoc społeczeństwa, jest sprawa żłobków dla niemowląt.

Istnieje jeden taki żłobek przy ul. Puławskiej 33, a miejsc jest w nim tylko na dwadzieścioro dzieci. Znowu na zawadzie stoi brak miejsca (2 niewielkie pokoje) i brak pieniędzy. Towarzystwo Żłobków dla



Żłobek dla niemowląt przy ul. Puławskiej

Niemowląt, borykając się z trudnościami finansowymi, zdołało utworzyć zaledwie jeden punkt, właśnie w dzielnicy Mokotowskiej, a napływ dzieci dowodzi, jak bardzo potrzebna jest tego rodzaju instytucja. Dowodzi tego i wygląd dzieci: dawniejsi „lokatorowie“ żłobka mają pełne, rumiane buziaki i niesłychanie dużo radości życia. Napęniają oni wesołymi okrzykami całe miłe, czystutkie wnętrza tego dziecinnego królestwa, wyciągając tłuste łapki do każdego wchodzącego.

Są jednak kołyski zupełnie ciche i milczące, gdzie leżą, niby maleńkie półtrupki, dzieci nędzy i niedoli, które matki niedawno dopiero przyniosły do żłobka. Dużo czasu upłynie, zanim higiena, dobre odżywianie i troskliwa opieka wywołają na pobladłych twarzyczkach rumieńce zdrowia. Dopiero, patrząc na te milczące kołyski, zrozumiałam, jak okrutną jest czasem obojętność społeczeństwa! Bo pomyślcie: im więcej będzie takich żłobków, które bezpłannie będą dawały opiekę niemowlętom, tem prędzej zniknie śmiertelność wśród dzieci, a nasze „wielkie bogactwo“ nie będzie lekkomyślnie marnowaniem dobrem. Tymczasem, jednak, żłobek dla niemowląt jest tylko jeden, a zawsze i zawsze brak w nim miejsc dla dziecięcego nieszczęścia!

Obecnie, gdy otwierają się żłobki fabryczne, myślę, że jest to początek naprawy stosunków, gdyż ięda tam przyjmowane dzieci tylko do drugiego roku życia, a przytem, co najważniejsze, matka będzie miała dziecko bliżej siebie i będzie je mogła karmić własną piersią. Jednak nie myślmy, że istnienie żłobków fabrycznych uwalnia nas od obowiązku opieki nad dzieckiem: żłobki prywatne ani na chwilę nie tracą swej ważności, bo jednak lwia część ludności Warszawy jest zajęta poza fabrykami. A więc koniecznie trzeba przełamać tę przedziwną obojętność społeczeństwa i zająć się gorąco sprawą żłobków, bo niebezpieczeństwo bliskie: jeszcze pewien przeciąg czasu potrwą ta śmiertelność wśród dzieci, a stanemy, jak Francja, przed grozą wyludnienia.



Żłobek dla dzieci robotniczych przy ul. Leszczyńskiej.
Zabawa na podwórku

FELICJA KRUSZEWSKA

O BOŻEM NARODZENIU



Już się wyrosło z Gwiazdki — z długiego czekania wieczoru,
z dobrotliwych objęć kanapy, z radosnych, strwożonych kroków,
z drzwi nagle szeroko otwartych, z pożaru tysiąca kolorów,
z łaskotania śmiechu po gardle, z małego serca podskoków.

Wyrośli się z jabłek rzeźwiących, z słodczy chrupkiego maku,
z cikliwości spłaszczonej figi, z złocistego miąższu daktyli,
z pierników o sercu czerwonym, o dziwnym, korzennym smaku,
z zapachów dalekich krajów murzynów i krokodyli.



Z przyjaźni pluszowych niedźwiadek, z lalek o miękkich włosach,
tupotu drewnianych koni i męstwa ołowianych żołnierzy,
z koszyczków, łańcuchów i kulek w tęczy w ogniach, jak w rosach,
i z słów serdecznych kolendy: „w żłobie leży“, ach, „któż pobieży“?

Wyrośli się ze stajenki, z Józefa, dobrego staruszka,
z szarego osiołka u żłobu i klęczącego baranka,
z Dzieciątka okrągłego jak śliczne, rumiane jabłuszko,
co podawało ustom chłodne, błyszczące kolanka.

Wyrastać było zwyczajnie — a przecie jakże surowo
tak wyjść i odejść na zawsze i nie zachłusnąć się łzami
z pachnących ramion choinki, które wciąż rozbrajały na nowo
i zdejmowały lata zielonemi, szorstkimi palcami!

Dorosło się w samą porę, żeby powiedzieć: to było.
W życie po samo serce! Na szczęście! Na ogień! Na noż!
I tyle się potem szukało i tyle się już przeżyło
— a do Twoich Narodzin jeszcze się nie dorosło, mój Boże!

S. BOROWSKA

L A L K A

Obrazek wigilijny

Zbliżające się święta Bożego Narodzenia rzuciły na babcię ciężką falę dalekich, przebrzmiałych wspomnień, goryczy i melancholji.

A zdawać się mogło wszystkim, że uspokoiła się ostatecznie, pochyliła głowę, poddała ją prądowi rzeczy nowych, obcych, wrogich. Można było myśleć, że babcia się zmodernizowała.

Przestała wspominać przedwojenne czasy, rozgrabione bogactwo, przestała płakać i ubolewać nad rozbitym samotnym życiem córki i sieroctwem wnuczki. Piękniemi, pańskimi rękami, które tak niedawno jeszcze zamknęła oczy dwojgu starszym, dorosłym dzieciom, zmywała rondelki i prowadziła malutkie gospodarstwo, wymagające zmuśnego dreptania.

Było jej wszystko jedno.

Zaczął się zaś od tego, że Halszka, wychodząc rano do biura, poprosiła, aby nazajutrz, w dzień wigilji, można było spożyć punktualnie o 6-ej skromniutką wieczerzę, bo o ósmej czekać ją miała składkowa, koleżeńska „herbatka“, na którą nie chciałyby się spóźnić.

Babcia otworzyła szeroko oczy i powiedziała bez ogródek, iż ten jeden wieczór mogłaby Halszka poświęcić całkowicie córeczce, która przecież widuje ją tylko dorywczo, a na pociechę, w taki dzień, jak jutrzejszy, nawet porządnej choinki mieć nie będzie...

Wywiązała się dyskusja bardzo ostra. Babcia, zwykle delikatna i politykująca z córką, powiedziała otwarcie, że kobieta, która już dobiega trzydziestki, ma sześciolatnie dziecko i jest porzucona przez męża, powinna mieć więcej „stateczności“, że „koleżeńskie herbatki“ nie nęciłyby jej tak często, gdyby nie ten jakiś pan Władysław, niesympatyczna, zdaniem babci, figura, który przyczepił się do Halszki i włóczy się za nią, uprowadzając wieczorami na tajemnicze eskapady.

Halszka oponowała ostro, aż babcia wyrzuciła z głębi macierzyńskiego udręczonego serca:

— Ja ręczę, że on wcale nie ma zamiaru ożenić się z tobą...

Wbrew oczekiwaniom, młoda kobieta roześmiała się tylko i zaczęła tłumaczyć żartobliwie i pojednawczo, że dziś mężczyzna nie proponuje już nigdy „bądź moją żoną...“ najwyżej powiada: „Nur eine Nacht sollst du mir gehören...“ Konkurent zaś, choćby najlojalniejszy, nie ma ochoty przesadywać godzinami w kole rodzinnem i „wyprzymniać się“ do matek i ciotek. Postępuje — jak mu się podoba, a jeśli się „wyprzymnia“ do swej wybranej, to już bardzo

dużo, bo dziś w każdym stosunku mężczyzna stara się dowieść kobiecie, że lekceważy ją bezdennie, — kobieta zaś dociąga się do tegoż tonu.

Babcia nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż Halszka wypadła na schody, śpiesząc kłusem do tramwaju.

Stara pani usiadła na krześle, niedaleko łóżka wnuczki i zamyśliła się głęboko.

— Biedne, biedne dziecko! — dumiała, patrząc na śliczną dziewczynkę, — nie masz ty ciepła i radości w domu... Nikt, prócz starej babci, nie cieszy się naprawdę z tego, że rośniesz, że codzień jesteś miłsza i mądrzejsza... Tatuś poszedł w świat, do swojej nowej „narzeczonej“, a mama marnuje życie, szarpie się czegoś i rzuca. Dla ciebie bywa czasami tragicznie czuła, czasami bez powodu opryskliwa i surowa.

— „Narzeczonej“! — powtarza w myśli z oburzeniem. Przed laty, wyraz ten był synonimem czystej, szlachetnej miłości, a dzisiaj...

Ach, gdzież jest teraz dom babci, jej własny dom, który kiedyś, w takie wigilijne wieczory, bywał jak wysepka szczęścia i miłości...

— Kupię lalkę Haluchnie, — postanawia nagle babcia, powracając do rzeczywistości. — Halszka zostawiła wprawdzie bardzo mało pieniędzy na różne konieczne sprawunki, ale może się urwie coś z tego i z tamtego. Niech biedne dziecko ma chociaż lalkę. Te stare kukielki takie już zniszczone.

Babcia ubiera swoją wnuczkę, odprowadza do sąsiadów z przeciwka, zamyka mieszkanie i rusza na ulicę. Zimny, szary dzień; na trotuarach już rojno. Babcia idzie ostrożnie i myśli — myśli samemi komunałami, jakby te wyświechtane banalności dzisiaj dopiero odsłoniły przed nią swą treść istotną i najgłębszą:

— Życie jest, jak sen. Było coś, przeszło... jakieś cele, jakieś dążenia, wielkie ukochania... A teraz, ot: dzwoni tramwaj, ryczy trąbka samochodu, przewala się jakaś chwila, jedna z miljarde, jedna z olbrzymiego łańcucha... a ja idę, patrzę — i jest mi źle... To jest życie? A gdyby tak moment nieuwagi i rozpędzone auto na zakręcie? Zamknęłyby się nad moją głową fale wszystkich wydarzeń... dzwoniłby sobie tramwaj i ryczał samochód — i jutro byłby dzień wigilji... tylko ja nie powiedziałabym już, że mnie źle... Gdzież to życie?...

Babcia jest już na Nowym Świecie i wkracza do dużego sklepu z zabawkami — a w sklepie tym — baśń z tysiąca i jednej nocy małego ludku... Pomimo wczesnej względnie godziny, damska klientela oblega

kontuary, wymadlając od bardzo zajętej, jadownej, żółtej wróżki w okularach, pani tego królestwa — pokaz coraz to nowych zabawek...

Babcia prosi o lalkę, ale głos jej nie znajduje posłuchu. Uzbiera się więc w cierpliwość i przygląda cudom, które wróżka podaje innym klientom. Upływa długa chwila.

— Pani życzy? — rozbrzmiewa nagle pytanie wróżki w okularach.

Och, jakże babcię śmieszy ten zwrot powszechnie używany w sklepach! Ma ochotę odpowiedzieć: „tak, życzę pani zdrowia i szczęścia...” ale mówi:

— Chciałabym kupić lalkę, niedużą, ale ładną...

Jadowna dama rozkłada laleczki, zachwala urodę, trwałość, praktyczność... Ceny? Och! zł. 35, 25, 15... Babcia wzdycha, ogląda, wzdycha znowu, jest tuż taka zmęczona...

— Proszę o lalkę — rozlega się nagle dźwięczny głos męski.

Obok babci stoi młody, elegancki pan w futrze, — twarz wzbudzająca zaufanie; leciutki, leciutki, szron na skroni.

Wróżka zajmuje się nim skwapliwie, a babcia, zapomniana chwilowo wśród rupiecia tanich laleczek, zwiesza głowę, przez moment słucha rozmowy amtych dwojga, aż znużona osuwa się na krzesło.

Spogląda na młodego mężczyznę, wybierającego lalkę. Jak on to robi, jak bada zalety i wady każdego, przedłożonego mu okazu, jak krytykuje nosy, ręce, przeguby!..

Babcia дума:

— Oczywiście, ojciec... Widać i w naszych czasach bywają jeszcze tacy... Jaki sympatyczny... Wybiera sam prezent dla córeczki. Ile czaru w tym geście, tak bardzo, bardzo tklwym, że prawie nie męskim!

Gest ten, jak nić Arjadny, prowadzi wyobraźnię babci w głąb tajemną prywatnego życia nieznanego człowieka: widzi drobne ramiona dziecięce na jego szyi, promieniejące ciepłem ognisko domowe, — szczęście ludzkie, proste i zwykłe, jak chleb powszedni i kryniczna woda — chleb i woda, bez których żyć niepodobna.

— Nie, te lalki nieładne, — odzywa się nagle pan w futrze, przerywając wątek marzeń babuni. — Proszę mi pokazać tamtą, ot z tej najwyższej półki, za szkłem.

— Bardzo droga, odpowiada wróżka...

— Nic nie szkodzi, jest ładna.

Lalka po obejrzeniu zyskuje uznanie pana.

— Proszę zapakować. Ile ja płacę?

— Siedemdziesiąt pięć złotych...

Elegancki pan bez targu kiwa niedbale głową. Na twarzy wyraz zadowolenia.

Babcia ogarnia go wzrokiem tak czułym, jak gdyby był jej synem. Powstaje z krzesła i mówi, z oczami pełnymi rzewnych światła:

— Ach, jakże pan kocha swoją córeczkę!..

Młody człowiek zwraca ku niej zdziwione oblicze i wybucha serdecznym, dobrodusznym śmiechem:

— Nie mam córeczki, proszę pani, ani nawet synka, Bogu dzięki! Mnie podoba się tylko bardzo pewna mamusia...

Babcia zaczerwieniła się jak dziewczątko...



JERZY DUHAMEL

WIGILJA RANNEGO

Autoryzowany przekład Zofji Miszewskiej

Z lodowatym i prawie że drwiącym uśmiechem Rechoussat powtarzał bez przerwy:

— Jestem pewny, że nie przyjdą.

Kapral Têtard udawał jednak, że nie słyszy. Porządkował na stole cały swój kram: kompresy, oliwę, rękawiczki gumowe, przypominające cokolwiek rękawice szermierza, sondy, zamknięte w tubach, niby ogromne laski wanilji, wanienkę emaljowaną, podobną do wielkiego strąka fasoli, oraz słój szklany, brzuchaty, z szeroką paszczką, który już chyba do niczego nie był podobny.

Rechoussat nagle postarał się o swobodny wyraz twarzy.

— Wogóle mogą nie przychodzić wcale, jeżeli nie chcą. Gwiżdżę sobie.

— A ja ci mówię, że przyjdą — odpowiedział kapral Têtard, wzruszając ramionami.

Ranny pochylił głowę z uporem:

— Tutaj, mój stary, nie przychodzi nikt. Ci wszyscy, którzy odwiedzają tych na dole, tutaj nie wchodzi nigdy. Mówię, poprostu, abyś wiedział, ale mnie to nic nie obchodzi.

— Możesz być pewny, że przyjdą.

— Wogóle, nie wiem, dlaczego umieszczono mnie samego w tym małym pokoju.

— Prawdopodobnie dlatego, żebyś miał więcej spokoju.

— Ah! przyjdą, czy nie przyjdą, wszystko mi jest jedno — Rechoussat zmarszczył brwi, aby wydatnić swoją dumę. Dorzucił z westchnieniem.

— Możesz się już zabrać do mnie...

Oczywiście, kapral Têtard był gotowy. Zapalił ogarek świecy, i jednym szarpnięciem ściągnął kołdrę z rannego.

Ciało Rechoussat ukazało się w całej swej niesłychanej chudości. Lecz Têtard nie zwracał na to już uwagi; wszak Rechoussat od trzech miesięcy przeszło żył z tą swoją nędzotą, nie tracąc bynajmniej pogody ducha. Wiedział przecież, że przeorane granatem plecy, to nie byle co, a sparaliżowany brzuch i obie nogi nie mogą odzyskać władzy w ciągu paru dni. Wiadomo!

Za każdym razem, gdy sonda wgłębiała się w jego ciało, wypowiadał jedno, uświęcone tradycją zdanie, które powtarzał dwa razy dziennie:

— Głupie to, że nie można załatwiać tego rodzaju spraw samemu!

Sonda była już na miejscu. Słój szklany zabarwił się brudno-żółtą cieczą, a odór przykry i mocny rozszedł się po pokoju, będącym więzieniem konającego.

— Lepiej ci? pyta Têtard.

— Tak, lepiej... Teraz już szosta, a oni nie przychodzą. Całe szczęście, że mi wcale nie jest przykro.

Kapral nie odrzekł nic: z miną zawstydzoną zciągał gumowe rękawiczki, trąc jedną o drugą.

Płomień wypalonej do ostatka świecy chybał się z wysiłkiem, niby więzień, pragnący zerwać się z łańcucha i polecieć tam, w głęboką ciemność pokoju, i dalej, i wyżej jeszcze. Szare, mroczne zimowe niebo i jakieś światy, nieznaną wojennej wrzawy ludzi.

Ranny i pielęgniarz patrzyli na płomień świecy w milczeniu, dziwnie pustymi oczami.

Z szklanego słoja padały krople z płynnym szelestem. Co sekunda daleki strzał armatni wstrząsał szybami, a za każdym razem płomień świecy drżał niby nerwowym odruchem.

— Nie zimno ci? spytał Têtard.

— Nie czuję przecież dolnej połowy ciała, więc nie może mi być zimno.

— Wróci.

— Naturalnie, że wróci! Wszystko martwe musi ożyć. Mam 25 lat; w tym wieku ma się jeszcze dużo siły do życia.

Kapral cicho pochylił głowę. Rechousat był przecież skazany na śmierć: miał wielkie rany od długiego leżenia w jednakowej pozycji, a oddzielono go od

innych rannych, aby, uwolnić jego towarzyszy od widoku bolesnej agonii.

Przeszła długa chwila. Cisza była zbyt głęboka, jak na to niewiele, które mieli sobie do powiedzenia. Wreszcie Rechoussat, jakby kończąc jakąś wewnętrzną rozmowę, rzekł nagle:

— Wiesz, że nie jestem wymagający. Ale gdyby przyszli choć na dwie minuty...

— Cicho! zawołał nagle Têtard. — Cicho no!

Począł nasłuchiwać ku drzwiom. Jakiś gwar przytłumiony dobiegał z korytarza razem z płatami ciemności i świeższego powietrza.

— No, mam ich już! — zawołał pielęgniarz.

Rechoussat wyciągnął szyję.

— Ee, mówię ci, że nie...

Wtem jakieś niezwykle, jaskrawe światło, o złoczo-czerwonych odbłaskach, światło nieznane i czarodziejskie zabłysło w korytarzu. Wychynęła z cieniów przeciwległa ściana; szara zazwyczaj, jak myśli grudniowe, teraz nagle zabłysła wspaniałością wschodniego pałacu, lub szaty zaczarowanej księżniczki. Cała ta światłość wtargnęła z hałasem, z hałasem radosnych głosów i śmiechów.

Właściwie, nikt nie śpiewał, lecz cały ten tumult płynął rytmem jakiejś radosnej pieśni. Rechoussat, nie mogąc się ruszać, wyciągnął długą szyję, uniósł dłonie ponad kołdrę, jak gdyby chciał dotknąć tego cudnego gwaru i czarodziejskiego światła.

— A widzisz, a widzisz!.. — powtarzał Têtard. — Mówiłem ci, że przyjdą!

Powstało zamieszanie. Coś zatrzymało się we drzwiach, coś, co było drzewkiem, prawdziwym leśnym świerkiem, i chwiało się w zielonej sukience. Tyle było lampjonów i kolorowych świeczek na gałęziach, że drzewko przypominało olbrzymią pochodnię. Małeńki pokój, niby oszalałe z radości serce, zabłysnął całym tem wewnętrznym światłem. Lecz to nie było jeszcze najpiękniejsze: bo oto weszli trzej królowie. Byli to Sorri, strzelec senegalski, Moussa i Carin. Mieli drogocenne płaszcze i długie, białe brody, zrobione z waty opatrunkowej.

Weszli wszyscy trzej i doszli na środek pokoju Rechoussat'a. Sorri niósł z przejęciem jakiś pakiet, Moussa wymachiwał dwoma cygarami, a Carin butelką szampana. Skłonili się ceremonjalnie, tak jak ich nauczono, i Rechoussat nagle poczuł w prawej ręce duże pudło czekolady, a w lewej—dwa cygara; litrowa szklanica, pełna musującego płynu stała na nocnym stoliku. Powtarzał:

— Ależ nie, chłopcy! To ci chryja! Ależ chłopaki! — Moussa i Carin śmieli się, Sorri pokazywał wszystkie swoje zęby, a wstrętny odór pokoju zniknął gdzieś zupełnie, jak gdyby wystarczyło trochę jasności, aby go wygnać.

— Nie, chłopcy!—wołał Rechousat, — ja nie palę, lecz schowam te cygara na pamiątkę. Dajcie mi tę drugą „gwiazdkę.”

Sorri wziął szklankę w obie dłonie i podał mu ruchem uroczystym. Rechaussat pił powoli, pomrukując:

— To ci „Gwiazdka“! Dobra Gwiazdka!

Przeszło 20 głów tłoczyło się u drzwi, a wszystkie były tak samo radosne, jak słodka i dziecinna twarzyczka Rechaussat'a.

A potem nastąpił zachód słońca. Czarodziejskie drzewko odeszło z szumem w głąb korytarza. Trzej Królowie zniknęli wraz ze swymi powłóczytymi płaszczami i brodami z waty. Rechaussat tylko wciąż trzymał szklankę z winem w obu dłoniach, powtarzając: — Tak, to jest przecież Gwiazdka.—Potem

począł się śmiać cichutko i tajemniczo. Powoli ciemność wnikała do pokoju i rozkładała się wszędzie, niby zwierz zadomowiony, którego chwilowo poruszono z legowiska. Wraz z nią wślizgnął się smutek który był chorobą Rechaussat'a. Cisza dzwoniła, kładąc się na wszystkie przedmioty, jak pył.

Twarz rannego już nie jaśniała odbiciem cudownej choinki: pochylił głowę, rzucił okiem na łóżko, na chude i wykrzywione nogi, które były jego nogami, na sondę, na te wszystkie przedmioty takie dalekie teraz, i zamamrotał:

— Ale... co? Co to było?



MAX WIT

8

PROFESOR

— Dzieci!?

— Tak, Jadziu, nasze dzieci!

Chowała mu głowę na piersi.

Pływały wieczory takie same, a takie inne! Każdy był symfonią rosnącego uczucia, niewypowiedzianego, mimo słów, niewyczerpanego w czasie. Byli dla siebie:

— On mój.

— On moja.

Każdy wysiłek, każdą zdobycz określał: — Dla niej, co ona powie?

Jej życie było dla niego — Co on?

Wypełniał dnie skupionem, radosnem, pracowitem napięciem; był zadowolony z wysiłków i szczęśliwy.

Ona liczyła minuty, wlokące się beznadziejnie długo w jarzmie roboty, którą znienawidziła, jak rywalkę.

— Co mi z tego? Glistnice. Profesor.—Nic.

Rysunki nie zyskiwały na tem. Były coraz gorsze, bezdarne, bezduszne, kiepskie. Profesor przypatrywał się wszystkiemu ze zdumieniem i żalem. Coś było, czego nie znał. Co?...

Zaczął się od przyjazdu Jeżowicza. Oczywiście. Tak, faktów nie przeoczał przyrodnik, ścisłość — to grunt. Ale dlaczego? Nie mają ze sobą nic wspólnego, całymi dniami się nie widują. On, zresztą, zapracowany, spławiony w pomysły, sekcje, robotę. Ona — do niczego. Jest, a jakby jej nie było. Coś się narodziło, coś umarło. Stawał w obliczu problemu, znowu nieznanego, niezbadanego, po staremu — kobieta. Objekt wymykał się poza obręb środowiska, poza na-

turalny układ. Jego metody badawcze nie miały zastosowania. Stawiał niewłaściwe pytania, nie znajdował odpowiedzi, błdził.

Fakty sprzymierzyły się przeciw niej. Ostateczne rezultaty ujemne. Powinien był przewidzieć. Przecież jest tylko kobietą. Więc dał się oszukać chwilowemu entuzjazmowi gości z aspiracjami naukowymi — nowoczesną odmianą kokieteryj! Stara prawda, wyznawana o kobiecie, nie została zachwiana. Przybyła nowa cecha: — fałsz, udawanie, umiejętność maskowania się. Nie znajdował usprawiedliwienia. Bolało go przecież, jak błąd, jak źle wysnuty wniosek. Zdawało mu się, że go haniebnie oszukano; jego, starego, mądrego przeciwnika kobiet zwiedziono, wciągnięto w pułapkę! Botanik i anatom uśmiechają się zjadliwie... widział ten uśmiech, bolał go.

Czemu nie wytrzymała próby tych kilkunastu pozostałych rysunków, tak nagle zaparła się pracy, nie logicznie, bez wyraźnych powodów?.. Zdrowie? Nie, była zdrowsza, niż kiedykolwiek. Czy człowiek chory może mieć gwiazdy zapalone w oczach, lub takie usta, pekające w uśmiechu, rozświetlone perlistą bielą zębów?... Nic, tylko marność, przyobleczone w złudny kształt kobiety. — Miałem rację, miałem rację! — decydował z uporem i darł w kawały kartę przygotowanego wstępu rozprawy, na której składał hołd i podziękę jej pracy. Nie zasłużyła. .

A jednak chwilami wierzył, że ta depresja przejdzie, że wszystko będzie dobrze, wróci do normy. Ot, kaprys kobiecy, nie wiedzieć, jak zrodzony, nie wiedzieć, jak spłynie, niby kropla po zatłuszczonym papierze. Wmawiał w siebie, że niema jeszcze przyczyny do

podnoszenia larum — czekać. Było w tem czekaniu tchórzostwo zbitego z tropu inkwizytora, który zdążył zatracić całą jasność nieskazitelnej ukutych a priori sądów i miar, stale stosowanych.

XII

Dnie przemijały. Po słońcu pogodne, prawie upalne, gdy wiosna ustępuje zwycięskiemu, żrącemu tchnieniu dojrzewającego lata, obwołującego światłem i zapachem swoje płomienne: „jestem“ Dzień po dniu był coraz dłuższy, wyciągał się w galaretę nudy, którą Jadwiga chciałaby stężyć, zagęścić do minimum, w jałowym oczekiwaniu mroku — konania rozgrzanego dnia.

Czekała niecierpliwie na świeżość wieczorna, która Go oddawała w jej upragnione ręce. Był wtedy jej, niezaprzeczenie jej. Te triumfy wieczorne okupywały całodzienną mękę, on bowiem coraz bardziej brnął w komplikujące się zagadnienia podjętego tematu. Wsączało go powoli; wyrastały zapory, przeszkody; niszczył jedną, by stawać do walki z drugą. Odważał ciężkie głazy, odgarniał ostry, kłujący żwir trudności. Walka poila go radością siły i rodziła wciąż nową, zwycięską wolę. Miał zresztą tę purpurę ust z lazurem oczu gdzieś przy sobie i w sobie. W oczach znajdował całą moc wytrwania, na ustach — wszystkie nagrody świata. Cóż więcej mógł pragnąć? Cóż?... Uważał, że dnie są stanowczo zbyt krótkie.

— Dlaczego doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny? — skarżył się profesorowi — dlaczego?... O, gdyby ją można zamienić na gąbkę, pęczniejącą w miarę potrzeby i woli, możnaby świat osiąść, jak małą, czarną piłeczkę!

Profesor uśmiechał się litościwie i dumnie — Jego duch! — rozkładał ręce i mruczał: — Nic, nic, dobrze chłopcze, rób swoje.

I po czarnoksiężsku „chłopiec“ zamieniał doby w gąbki, nasiąkłe pracą i kochaniem.

— Jadziu! To okres mych dyonizyj, triumfu! Rozprawę poświęcam Tobie! nasza miłość ją zrodziła, w jej cieple zakwita, w jej sile się rozwija, a gdy skończę — ślub. Nie przedtem... Ta książka będzie moim ślubnym podarkiem.

Słuchała go z czcią i nabożeństwem, im mniej sama pracować mogła. Zazdrościła mu tych możliwości, zamkniętych jeszcze w katalogach przyszłych wyników, i przymuszała się sama do pracy. Ale przymus więcej u niej niszczył, niż budował; przynajmniej tak myślała; wołała go się wyrzec.

Samnasam z zamyślonym, gorzkniejącym profesorem dręczyło obrzydłe, a przecież nie mogła rzucić wszystkiego na cztery wiatry, bo On był tam, za ścianą. Mogła nurzać się z lubością w odgłosach jego pokoju, mogła wbiec ukradkiem, by dotknąć ręką włosów, musnąć w przelocie ustami twarde, spalony kark, lub zwyczajnie, cichutko popatrzeć, jak szybko obraca w palcach jakiś dziwny aparat. Najchętniej

i coraz częściej zostawiała rozpoczęte rysunki i wolno wolniutko, aby przedłużyć drogę do domu, szukać czas, wracała pławiąc się w ukośnym świetle słońca ulicami, pełnymi ludzi o prześwieconych, złotych twarzach. Wszyscy mieli gwiazdy w oczach. Dlaczego przedtem tego nie widziała?...

Wciąż nowe i nowe wykrywała dziwy poza błyskotliwymi szybami wielkich wystaw i po kątach zacienionych zaułków, gdzie przesłukiwało figlarnie odmienione w drobne, ruchliwe zajaczki słońce.

Cały świat był złocisty, lub bardzo różowy, czerwien stawała się purpurą, purpura — fioletem, fioletem — granatem nocy, a noce były Nim.

Przesiadali razem do wczesnego świtu; poranny chłód rosisty budził pragnących i niesytych, rozstawali się, by po kilku godzinach wyławiać z utęsknieniem poprzez drewnianą, wiotką przegrodę dwóch pracowni.

Profesor wreszcie stracił nadzieję i cierpliwość. Ogarniała go pasja, tem gorsza, że próbował z nią walczyć; wreszcie, w ostatecznej rozterce zdecydował opowiedzieć Jeżowiczowi i prosić o radę, co czynić wypada. Zaczął odrazu bez dyplomacji, bo i pocóż?

— Kobiety do niczego. Panna Jadwiga od urlopu — także. Co jej strzeliło do głowy — nie wiem. Czy upały?... Czy co? Dosyć, że mi psuje więcej papieru, niż rysuje.

Jeżowicz pochylił się nad mikroskopem; coś w nim nastawiał uparcie.

— Strzeliło do głowy? Ot, co. Powiedzieć, czy nie?... — medytował. — Powiem!

— Bo widzi profesor: kobiety, to taki dziwny naród — jak coś robią, to całą sobą, bez reszty. Gdy pracowała, wióry leciały. Temi wiórami były profesorskie przesady na temat wartości kobiecej; a jak przestała, to nadobre. Dwóch rzeczy naraz kobieta dobrze robić nie potrafi.

— Jakto, dwóch rzeczy?

— Zwyczajnie: pracować i kochać.

— Panie Jeżowicz! proszę nie żartować, ja zupełnie poważnie...

— Otóż ja także.

— Więc?

— Więc, to proste: Jadwiga mnie kocha i ja kocham; kochamy się razem — dodał z uśmiechem.

— ?

— Jadwiga zostaje moją żoną, to postanowione, gdy tylko ogłoszę tę pracę.

Profesor wytrzeszczył głupio oczy, poruszył machinalnie dolną szczęką, przemocą wyciskając słowa, grzęznące gdzieś w krtani.

— Jakto, żenicie się? — wypluł prawie z obrzydzeniem.

W tej chwili dojrzał całość piekielnej, babskiej intrygi. Właśnie teraz, gdy miał oczywisty dowód, że jego teorie o bezwartościowości kobiet są słuszne, Jeżowicz decyduje się żenić z nią — Jadwigą. Rzecz

niesłychana! Chciał wszystko wyjaśnić asystentowi, wyłożyć szczegółowo, porządnie—nie powiedział przecie nic, bo i pocóż? Młodość jest zawsze lekkomyślna i pusta, a kobieta... Widocznie Jeżowicz musi mieć kogoś, kto mu będzie wycierać plamy po fuksynie i rodzić dzieci.

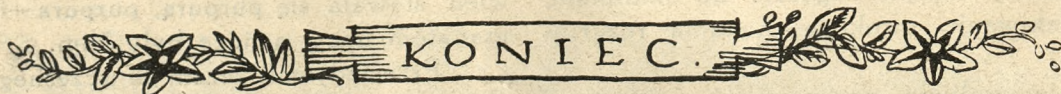
— Jadziu!—zawołał doktor przez ścianę,—Jadziu! Zrozumiała. Profesor był u niego. Pobiegnęła. Porwał ją prawie na ręce i postawił przed profesorem.
— Oto moja mała żonka, Magister zoologii — Pani Jadwiga Jeżowicz!

— Proszę nam powinszować!—dodała.

To było bezczelnością. Uczony oniemiał do reszty. Zanim się spostrzegł, poczuł jej drobną rączkę w swej dłoni. I stało się coś najgłupszego w całym jego mądrym życiu: Prawie nieprzytomny z oburzenia, przycisnął jej głowę do ust i ucałował w czoło.

— Bądźcie szczęśliwi!...

Po chwili nie było ich w pracowni. Przytuleni do siebie, szli młodym, rytmicznym krokiem przez gorącą zieloność dziedzińca ku szeroko rozwartej bramie. Profesor cicho zamknął okno pracowni.



W. MIŁASZEWSKA

25

KACZĘTA

(powieść)

— Wyglądam, jak człowiek, bogatszy o trzy tysiące marek—zaśmiał się Tomasz z zadowoleniem i zatarł ręce — Zrobiłem dobry gieszeft. Ale ciocia się na tem nie zna...

To i prawda: nie znam się na tych jego gieszeftach. Nic nie rozumiem, jak z Teofilem rozmawia o kursach giełdowych, o jakiejś walucie, o cenach kortu, o tem, że cukier jeszcze podskoczy, a marka znowu spadła...

Ale dziś przy obiedzie, kiedy mi tak powiedział: „Ciocia się z tem nie zna“ — stanęła mi w oczach jedna chwila z przeszłości.

Bo to było właśnie rok temu, jakem go przyłapała, że do domu nad ranem wraca. Nie powiedział wtedy: „ciocia się na tych rzeczach nie zna“, ale śmiejąc się, spytał.

— Czy ciocia nie pamięta, ile mam lat?

... Że to już niby oddawna przestał być małym Tomeczkiem, którego się strofuje...

Tak, tak... Mój Boże! Wtedy mi było bardzo przykro, ale wtedy, pomimo wszystko, wtedy jeszcze on był dla mnie moim kochanym, małym Tomeczkiem, który czasem odpowie trochę szorstko, trochę niesprawiedliwie, ale przecie nic złego, nic prawdziwie złego, nieuczciwego — nie popełni...

I nagle, pierwszy raz w życiu przyszło mi do głowy: kto wie, czy Staś nie miał słuszności, nazywając Tomka paskarzem? Kto wie, czy te jego gieszefty, to jego duże, niepotrzebne mieszkanie, te wyjazdy do Łodzi...

Boże! nie karz mię, że sobie pomyślałam... Bo jeśli ktoś raz potrafi skrzywdzić człowieka, to potra

fi innych ludzi nieraz oszukać... A oszukaństwo jest krzywdą... A on Janinkę przecie oszukał także...

Aż mi się w głowie mąci! Tyle mam w sercu goryczy... Gdyby nie to, że po śmierci Mareczka wypłakałam chyba wszystkie łzy, płakałabym dziś nad Tomkiem.

Ale to co innego, co innego, ten żal...

2 kwietnia

Widziałam go. Łuczakowa wcale nie przesadziła. Śliczny chłopaczek, a do Tomka, jak dwie krople wody, podobny.

Może i nie należało tam chodzić. Janinka wprawdzie nie wie, kto jestem, i ani się domyśla, że ten jej mały Kazio nie do kogo innego tak się uśmiechał, tylko do swej ciotecznej babki. Ale gdyby zaczęła pytać... Mnie za język pociągnąć nietrudno, mogłam się zdradzić, jak nic!

Wtedy nietylko Tomasz miałby do mnie pretensję, że w cudze życie nos wściubiam, ale i Łuczakowa z córką pewnie zatrasnęłyby drzwi przedemną...

Jednak stało się: poszłam. Przedtem łamałam sobie głowę, jaki wymyślić interes, żeby moja wizyta nie wydała się podejrzaną? Dopomogła mi sama Adelcia.

— Nie pamięta ciocia przypadkiem — spytała wczoraj po obiedzie — adresu tej kobiety, która tak ładnie karbowwała mi kołnierzyki?

Aż dech straciłam na chwilę. Bo po co ona chce wiedzieć? Ale mówię spokojnie, niby nic:

— Adres? Czeka, może mam zapisany. A na co ci?

— Et, głupstwo. Przypomniało mi się, że warto tę wełnianą spódniczkę splisować. Wcale jeszcze nieźła, tylko się fałdy porozchodziły.

— Daj tę spódniczkę — powiadam — to ci sama jutro załatwię.

— Eee, poco cioci mam kłopot sprawić! Przejdę się spacerkiem, i już...

Ale po minie poznałam, że tylko tak certuje się przez grzeczność, a w duchu rada, że ją pragnę wyręczyć.

Zawinęłam spódniczkę i już — już miałam w dyrdy biedz na Żorawia, kiedy nagle przyszło mi na myśl, że o tej porze Kazio napewno śpi. A tak mi się koniecznie chciało zobaczyć, jakie ma oczki...

Więc dziś dopiero poszłam, koło południa.

Jaka to głupia natura ludzka! Czułam, wchodząc po tych kilku schodkach, że mi serce młotem w pierśiach wali, a na twarz występują wypieki. Wszystko to z niepewności, czy Łuczakową zastanę i ze strachu, żeby się z czym niepotrzebnym nie wyrwać.

Była, na szczęście, w domu. I nawet nie taka zbiedzona, jak wtedy, gdy ją spotkałam w wypożyczalni książek. Przyjęła mnie w kuchence, tłumacząc, że dalej nie może prosić, bo właśnie Janinka małego karmi!

— Jakże jej zdrowie? — pytam.

— Ano, Bogu dzięki, już dobrze. Tylko mizerna bardzo. Ale już jej siły wracają i chęć do życia. Nawet chce sobie zajęcia szukać, bo powiada, że jej tego próżnowania wstyd. — Mama — powiada — pracuje od rana do nocy na wszystkich, a ja — powiada — palcem o palec nie stuknę. Ale zobaczy mama — powiada — że jak tylko posadę znajdę, będzie nam lżej... Służącą weźmiemy — powiada — chociażby na przychodnią. Nie dam się mamie tak męczyć... Czy to nie złote serce? Ej, mówię pani, wyjątkowa dziewczyna! I tak ją zmarnowali...

Tu moja Łuczakowa łzy zaczęła ocierać i wzdychać, ale że mi było pilno do Kazia, a nie do jej wyrzekań, więc spytałam z pośpiechem:

— Nie pokaże mi pani wnuka? Zawsze Ignęłam do dzieci, a swoich nie mam... Miło choć na cudze maleństwo popatrzeć...

— Żeby o mnie szło, to całem sercem. Ale nie wiem, co mi Janinka powie. Zawsze, pani rozumie, to dziecko... Pójdę, zapytam. Powiem jej, że znam panią z dawnych czasów, z przed wojny...

Podreptała do sąsiedniego pokoju, a ja, czekając, zastanawiałam się, dlaczego niby lepsza znajoma z przed wojny, i że tym argumentem skłoni Janinkę do pokazania małego?

Coś tam długo szeptały; przez drzwi przymknięte słyszałam głos Janinki, potem głos starej — i znowu głos Janinki, jakby niechętny:

— ...z mamą, to zawsze...

Wreszcie Łuczakowa wsunęła głowę, szepcząc:

— Proszę iść, tylko prędko, bo malutki zawsze po jedzeniu zasypia.

Weszliśmy. Jezu kochany, jak ja znam ten zapach pieluszek — i ciałka maleńkiego — i mleka! Okno zasłonięte roletą do połowy, przed piecem na sznurku kaftaniki, koszulki tycie, że myślałbyś — lalczyne. A w nogach łóżka prosty kosz od bielizny, łubiany kosz — i w nim, jak kwiat różowy, pośród podusz buzia okrągłutka, wykrzywiona pocieszenie do śmiechu czy do płaczu — Bóg raczy wiedzieć...

— Moja córka — mówiła Łuczakowa namaszczeniem, prezentując Janinkę — A to jest właśnie Kazio. Prawda, że śliczny chłopak? I jaki duży! Ktoby powiedział, że ten smarkacz nie ma skończonych sześciu tygodni?! Będzie z niego kiedyś wielki mężczyzna! Wielki mężczyzna! Widział kto takie oczy? Ży dziecko w tym wieku patrzyło tak rozumnie, co? A ja pani powiadam, on już matkę poznaje i mnie... Teraz trochę chorował na brzuszek, to pomizerniał. Ale dziwnie wesołe dziecko! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby bez powodu marudził. W nocy też rzadko krzyczy, chyba, że mu się jeść zachce, albo też... (d. c. n.)



NASZ DODATEK POWIEŚCIOWY

Przy numerze ubiegłym rozpoczęliśmy druk noweli: „Pomoc tonącym”, panny Denise Van Moppes. Młoda, bo zaledwie 25-letnia autorka, francuzka pochodzenia holenderskiego, ukończyła studia w Sorbonie i pracuje, jako dziennikarka w „Nouvelles Littéraires”, „Revue européenne” i „La vie”.

Jej nowela: „Secours aux noyés” to interesujący debiut literacki, który zwrócił uwagę nie tylko krytyki i publiczności, ale i jednego z wybitnych reżyserów kinowych. Na jego propozycję autorka noweli przerobiła ją na scenariusz filmu, który wkrótce będzie wyświetlany.

Nie wątpimy, że romantyczny wątek „Pomocy tonącym”, skreślony z dużym zasmakowaniem finezji i z subtelnością wyczuć psychologii młodej dziewczyny, zyska uznanie i u naszych czytelników.

GRAZIA DELEDDA

Laureatką nagrody Nobla za całokształt pracy literackiej została w tym roku autorka włoska Grazia Deledda. Nazwisko jej wymieniano już trzy lata temu, stawiając je obok Reymonta wtedy, gdy nasz wielki pisarz otrzymał to wysokie odznaczenie.

Grazia Deledda liczy obecnie 52 lata. Urodziła się w 1875 roku w miasteczku Nuoro w Sardynji i przez długi czas była powieściopisarką regionalną, to znaczy, iż obserwowała jedynie zwyczaje, panujące na Sardynji, opisywała życie sardyńskich włoscian i rybaków, oraz tamtejsze krajobrazy. Pomału rozszerzał się jednak zakres jej zainteresowań. Wyszędłszy z urzędnika, przeniosła się do Rzymu i zaczęła kreślić w swych nowelach życie stolicy Italji, poczem polem jej obserwacji stał się cały półwysep.

Mając lat siedemnaście, napisała pierwszą swą powieść: „Kwiat Sardynji“ („Fior di Sardegna“), która zyskała szeroki rozgłos. Od tego czasu wszystkie jej romanse i nowele były rozchwytywane przez czytelników i tłumaczone na wiele obcych języków. Z powieści Grazii Deleddy wymienić należy: „Szlachetne dusze“, „Starzec z gór“, „Bluszcz“, „Nostalgja“, „Popioły“, „W pustyni“, „Trzciny na wicherze“, „Ucieczka do Egiptu“, „Pożar w gaju palmowym“, „Matka“, „Tajemnica samotnika“, „Taniec collana“, „Annalena Bilsini“ i t. d.

Wszystko to, co wychodzi z pod pióra włoskiej pisarki, nacechowane jest wielką religijnością. Deledda dowodzi w swych pracach, jak uczucia czyste i prawe w duszy człowieka w końcu zawsze zatriumfują nad głosem pierwotnego, zwierzęcego instynktu. Opierając się silną stopą o swą ziemię macierzystą, przesyconą zdrowiem i urodą tej ziemi, umiała ona wypracować w sobie własną indywidualność pisarską, odrzucając wszelkie wpływy literatur: francuskiej i rosyjskiej, tak rozpowszechnione we współczesnej Italji. Wbrew wszelkim modnym prądom intelektualnym i artystycznym, talent jej, bujny i silny, zachował pewien chłopski charakter, którego główną cechą jest siła i upór. Pomimo wyraźnego realizmu, autorka zdobywa się na tony nieraz nawskroś liryczne, zwłaszcza wtedy, gdy się lituje nad dolą sardyńskich biedaków i sardyńskich dzieci.

W powieści, nad której ukończeniem pracuje obecnie, znowu powróciła do ukochanych swoich sardyńskich motywów. Powieść nosi tytuł: „Il vecchio e i fanciulli“ („Starzec i dzieci“).

Grazia Deledda nie zaniedbywała nigdy swoich obowiązków rodzinnych dla literatury. Potrafiła być dobrą żoną i dobrą matką. Uczucia swe macierzyńskie zamknęła w najpopularniejszej swej powieści „La madre“. Dom był dla niej przybytkiem dobra, prawdy i jasności; umiała być kapłanką domowego ogniska, pomimo, iż myślami wybiegała często poza krąg „lampy domowej“.

Podczas gdy Matylda Serao uprawiała czynną politykę, Grazia Deledda oddana była całkowicie pracy literackiej. Gdy germańscy wielbiciel jej talentu podczas wojny światowej zwrócili się do niej z prośbą, by wyraziła swe zdanie o kulturze niemieckiej, t. zw. „Die Kultur“, zaskoczywszy ją pytaniem:

— Przecież pani chyba nie chce, aby Niemcy przestali istnieć?

Grazia Deledda odrzekła:

— Wcale sobie tego nie życzę, aby Niemcy przestali istnieć, ale pragnę, aby żyła Francja.

Było to jedyne wyznanie wiary politycznej, jakie wyszło z ust autorki „Matki“.

To, co zwróciło na skromną włoską autorkę oczy tłumów i od czego zależną była najniezawodniej opinja sędziów, którzy jej przyznali nagrodę Nobla, to znaczenie ogólnoludzkie jej prac. Deledda, bowiem, po przez ziemię ojczystą widzi cały świat, a po przez człowieka—całą ludzkość. Do twórczości swej zastosowała surową dyscyplinę artystyczną i dlatego twórczość ta wzbudzić musiała cześć i uznanie. Każda jej powieść była krokiem naprzód ku doskonałości, lecz każda, mimo iż była rezultatem wewnętrznej pracy nad udoskonaleniem własnego ja, nie dawała jeszcze pełnego zadowolenia autorce, bo duże szczytne, wybijające się siłą talentu ponad poziom, nie są nigdy zadowolone z tego, co dają.

Gdy Grazia Deledda dowiedziała się, że przyznano jej nagrodę Nobla, wnet zjawiły się u niej rzesze reporterów, prosząc skwapliwie, aby im udzieliła szczegółów ze swego życia, i dopytując, jakie wrażenie zrobiło na niej to zaszczytne wyróżnienie?

Autorka włoska odpowiedziała im:

— Cieszę się, że w tej chwili z mojej przyczyny oczy całego świata zwrócone są na Italję... A przede wszystkim — na Sardynję.

I w tych prostych słowach zamyka się niemal cała treść i cała wartość jej dzieła.

Z. R.



Z TEATRU

TEATR MAŁY:

„Ósma żona Sinobrodego“ komedia w 4 aktach. Alfreda Savoir. Przekład Zofji Jachimeckiej. Reżyserował Władysław Ryszkowski.

TEATR POLSKI:

„A by żyć“ komedia w 3 aktach Kazimierza Wroczyńskiego. Reżyserja K. Borowskiego.

TEATR LETNI:

„Fenomenalna umowa“ komedia w 3 aktach Larry Johnsona, przekład Andrzeja Marka. Reżyserja E. Chaberskiego.

Dobra sztuka, jak dobre wino, nie nie traci na odleżeniu się. Wystały, a szlachetny likwor nabiera przejrzystości, smaku i aromatu, jednym słowem tego, co znawcy nazywają „bukietem.“ I czaruje podwójnie: echem wspomnienia i bezpośrednim wrażeniem gry. Tak się rzecz ma z „Ósmą żoną Sinobrodego“ dla tych, którzy w jej roli sześć lat temu podziwiali przedwcześnie zmarłą, świetną artystkę Mary Mrozińską, a teraz mieli możność przeprowadzać porównania z obecną obsadą. Dla mnie była ona autentyczną premjerą, i z przyjemnością stwierdzić mogłam, że na tle ostatnio produkowanych na obydwu szyfanowskich scenach elukubracji, ta typowo francuska, lekka kreacja na łódzkiej podszewce wypukła się dodatnio, niczem paryski model pośród tualet, niedołącznie ześcibionych przez jakąś domorodłą pannę Justynę, czy Agnieszkę.

Savoir - Poznański, obok talentu komedjopisarskiego ma to, co mu zdobywa z miejsca publiczność: nerw sceniczny. Najnieprawdopodobniejsza, najbardziej papierowa sytuacja w jego rękach przemienia się w pulsującą życiem rzeczywistość. I porywa widownię świeżością pomysłu, szczerością odczucia. Tak było z „Wielką księżną i chłopcem hotelowym“, tak jest z „Ósmą żoną Sinobrodego.“ Zrodzone w błyskotliwym zgiełku bulwarów, przychodzą do nas z obiecującą pieczętką „made in Paris“ i nigdy nie sprawiają zawodu.

„Ósma żona Sinobrodego“, to jeszcze jedna inscenizowana anegdota na temat niestałości mężczyzny i sprytu ambitnej kobiety, która umie przykuć do siebie milionera, zepsutego ławem zdobywcami.

Jakim sposobem „Ósma żona“ może być jednocześnie pierwszą i ostatnią, tego tutaj wyjaśniać nie będziemy, gdyż potknęlibyśmy się o szereg sytuacji, mocno ryzykownych, którym jednak autor dodał tyle wdzięku, że, nie tracąc nic na pieprzyku, ani na chwilę nie zbaczają na manowce trywjalności. Jest to ciągle igranie z ogniem, żonglowanie piłkami sytuacji, ubieganie się o rekord zręczności, wyścig pomysłów,

pędzących pod pełnym gazem, taniec wśród mieczów scenicznego hazardu, z którego autor wychodzi nitylko bez szwanku, ale z laurem zwycięzcy.

A wykonawcy? Ci, co widzieli w roli „Ósmej żony“ Mrozińską, twierdzą, że do tej pory pozostała nieprześcignioną pod względem wykwintu i finezji. Przyznać jednak należy, że Modzelewska dała z siebie wszystko, co leży w możliwościach jej niepowszedniego talentu. Szczególniej w pierwszym akcie zdobyła się na spokój i opanowanie niekiedy zbyt jaskrawej ekspresji, mimiki i gestów, do której zaprawił ją nieco jednostronny charakter ról, dotychczas przez nią odtwarzanych. Chwilami jej rozbrykana eks-margrabianka zanadto przypominała świetną „Pannę Flûte“ z ubiegłego sezonu, ale na obronę artystki można powiedzieć, że pomysł symulacyjnego aktu niewierności, jaki autor podsuwa swej bohaterce, łatwiej mógł się urodzić w mózgu przebiegłej łódzkiej żydóweczki, niż w główce francuskiej arystokratki, którą duma i poczucie osobistej godności doprowadzają do zainscenizowania trywjalnego obrazu zdrady małżeńskiej.

Junosza-Stępowski był nieporównany. Tak nas przyzwyczaił do widoku podstarzałych lowelasów i pasożytujących na miłości starców, że w zdumienie wprowadził całą widownię silnie zarysowaną sylwetką krwistego mężczyzny, który tak łatwo daje się poprowadzić na nikłej wstążeczce sentymentu. Drobne, liryczne momenty akcji były przezeń umiejętnie pogłębione, bez przeceniania fizjologicznej strony sytuacji.

Całość, wyreżyserowana bez zarzutu, szła we właściwym tempie. Wolelibyśmy jednak, aby sypialnia żony milionera mniej przypominała elegancki gabinet restauracyjny (ach! ten nieszczęsny kubełek do szampana!)

Tualety pani Modzelewskiej były prześliczne, szczególnie biała spacerowa sukienka w pierwszym akcie i żółta balowa krynolinka — w trzecim.

* * *

Niema dziś chyba w Polsce człowieka, któryby wśród niepotrzebnych rupieci nie przechowywał paczki akcji, doskonale nadających się na wytapetowanie przedpokoju — jeśli ich jest więcej, lub na wylepienie kuferka Marysi, — jeśli ich jest mniej.

Stosunkowo niedawny okres gorączki giełdowej, kiedy to banki i towarzystwa akcyjne wyrastały, jak grzyby po deszczu, a wszystkich ogarniała niezdrowa febra spekulacji, — z bolesnym grymasem pokazał nam w swej ostatniej komedji Wroczyński. A zrobił to z okrutną bezwzględnością operatora, który nie waha się przed najryzykowniejszym cięciem, skoro obnażyć ono może raka, toczonego wnętrzości społeczeństwa.

Typy, wyprowadzane na forum opinii przez Wroczyńskiego, wszystkie, co do jednego, ogarnięte są powojenną psychozą. Tylko ta psychoza przybiera postać idealną u Marzyciela-symulanta, typowego archi-

tekta zamków na lodzie, któremu się zdaje, że jest człowiekiem czynu, ponieważ siłą swej wiary w niemożliwość sugestjonuje i siebie, i otoczenie niemal do obłądki, — a u pozostałych figur komedji przeradza się w newrozę podłości, w wyścig małych i dużych świństw, pędzących naoslep pod hasłem: „Aby żyć!“ ku niewiadomemu celowi, którym może być: albo separata w Tworkach, albo bezpłatne mieszkanie na Pawiaku. Akcja, nieco rozwlekła i pokawałkowana w pierwszym i drugim akcie, — nabiera życia i ruchu w trzecim, w tempie farsowem biorąc na finiszu wszystkie przeszkody sytuacyjne i psychologiczne, jakie spiętrzył przed sobą sam autor w tem polowaniu parforce na kołem toczącą się fortunę.

Autor do tego stopnia potrafił narzucić widzom rachunek nieprawdopodobieństwa, że pod koniec przedstawienia zapominają o wszystkich nonsensach, o lotnym piasku założenia, na którym zbudowano całą akcję, trawieni dziecinną ciekawością, kogo zamkną do klatki kasowej, kto nareszcie pojedzie do szpitala warjatów: lekarz, czy pacjent?

W galerji typów, grubemi, nieraz przejawskawionemi konturami zarysowanych przez Wroczyńskiego, maskę najbardziej wyrazistą mają: poseł Cichcik i urzędnik ministerjalny Potowicz, — dwa polipy, wyłowione w akwarjum mętów społecznych, a znakomicie odtworzone przez Samborskiego i Frietschego. Pan Maszyński w głównej roli z trudnością szukał akcentów prawdy; Krzewiński dał mistrzowską sylwetkę wóznego. Pełnym wdzięku epizodem było zjawienie się na tem tle ogólnej korupcji pary statuszków, — prowincjonalnego Filemona i Baucis, — powierzających z dziecięcą ufnością swój szczupły kapitałik zgrai kryptorzezimieszków, żerujących na ludzkiej łatwowierności i żądzy zysku. Postacie kobiece nie przedstawiały wdzięcznego pola do popisu. Natomiast rólka małej Wilińskiej dziwnie przypominała uczoną papużkę. W galerji typów z panopticum, to przemądrzałe dziecko sprawiało wrażenie sztucznego homunculusa.

* * *

O „Fenomenalnej umowie“ w Teatrze Letnim niewiele da się powiedzieć. Jest to, według słów jednego z najzasłużeńszych przedstawicieli naszej sceny: „uczciwe kino“. Efekty z amerykańskich scenariuszy filmowych nigdy nie zawodzą, szczególnie, jeżeli idzie im w sukurs taki artysta, jak Orwid, prześliczną kreacją starego profesora. Zresztą, sztuka czysta, jak szkło. Nie jak kryształ, bo to zbyt wysoka skala. Można na nią prowadzić dzieci i podlotki. Widownia płacze i śmieje się naprzemian; nie nudzi się ani przez chwilę. Doskonałe widowisko po świątecznem objadaniu się. Tylko ta „opera“ na początku ostatniego aktu mogłaby być nieco skrócona. Co ma „Madame Butterfly“ do tej całej rozkosznej awantury? Chyba, że chciano nas dokładnie wprowadzić w atmosferę amerykańskiego sentymentalizmu.

S. P. O.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Koncert na trzy i cztery fortepiany w Filharmonji — *Erika Morini* — Dyrekcja *Mateusza Glińskiego* — *Robert Casadesus*.

Koncerty na trzy, cztery i więcej fortepianów, w które obfituje klasyczna literatura fortepianowa, należą już dziś do historii i mogą mieć znaczenie jedynie dydaktyczne, rzecz jasna, bardzo potrzebne, aby od czasu do czasu pokazać, jakie były dawniejsze efekty pianistyczne, w postaci zresztą zgoła odmiennej, aniżeli obecna forma demonstracji klasycznych utworów tego rodzaju. Rozrosła konstrukcja fortepianu koncertowego i bogactwo jego dźwięku nie sprzyjają pokazowi gry na kilku fortepianach i nietylę przykuwają słuch do ogromnie, zresztą, przejrzystej muzyki, ile rozpraszają niepokojąco wrażenia optyczne, mające objąć estradę, wypełnioną fortepianami, i czterech, uzupełniających się wzajemnie, pianistów. Pianiści: Osborn, Riebensahm, Münzer i Szpinalski z zadania swego wywiązali się dobrze. Szczególnie dwaj pierwsi, Niemcy, górowali jasnością polifonii w koncercie Bacha na cztery fortepiany. Słabiej wypadł koncert Mozart'a na trzy fortepiany, o przebrzmiałych zupełnie w tej formie efektach hemofonicznych. Rapsodia Jerzego Fitelberga, dołączona do programu, okazała się utworem gorszym, zarówno ujęciem, jak i żywem, nieudolnem naśladowaniem Strawińskiego.

* * *

Mateusz Gliński, redaktor świetnego pisma „Muzyka“, rzadko ukazujący się, jako dyrygent w Filharmonji, przygotował fragment nieznannej opery Debussy'ego „Pelleas et Melisande“, który jednakże nie był interpretowany ze względów, od dyrygenta niezależnych. Natomiast bardzo staranną dyрекcję otrzymała rzadko grywana symfonia Brahmsa, oraz program, złożony z ciekawych utworów Fauré'go, Karłowicza i Skriabina. W koncercie brała udział znana śpiewaczka włoska Maria Labia. Solistkę i dyrygenta Glińskiego publiczność darzyła szczeremi oklaskami.

* * *

Dyrekcja koncertów p. H. Markiewicza daje zawsze w sezonie szereg atrakcyj, a nazwa wieczorów mistrzowskich nie jest bynajmniej reklamą, ale dobrze zasłużonem mianem koncertów najwybitniejszych solistów. A więc do ostatnich „szlagierów“ koncertów, urządzonych przez dyрекcję Markiewicza, należał recital fortepianowy Seweryna Eisenberger'a i wieczór sławnej skrzypaczki, Eriki Morini. Szlachetny, nieskazitelnym ton świetnej artystki brzmiał przepięknie, szczególnie w przejrzystym napisanym melodyjnym koncercie Glazunowa, a był prawdziwym popisem mistrzowskiej techniki i kunsztownych flageoletów w fantazji Paganiniego.

Filharmonja i dyrekcja koncertów Markiewicza rywalizują z sobą o lepsze i dzielą pomiędzy siebie sławnych solistów. Casadesus w Filharmonji nie robi sobie konkurencji w konserwatorium: tu i tam występuje z jednakowem powodzeniem. Występ jego z orkiestrą — koncerty Mozarta i Beethowena w programie, — mają w interpretacji Casadesusa ustaloną sławę. Szczególnie z Mozarta umie Casadesus wydobyć właściwy wdzięk i prostotę kantyleny; jego gra jest perlista, ogromnie subtelna, wyrafinowanie lekka, bo równocześnie pełna dzwicznego tonu, bez przeładowania koncertu trudnemi kadencjami, mającemi na celu popis techniki, której Casadesus nigdy nie nadużywa. Stąd urok wirtuozji, nie posługującej się szablonem, i gra indywidualna, ale utrzymana zawsze w formie, zależnie od utworu.

P. L.



WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE

„Chojnka“ — Marji Konopnickiej, zdobiła graficznie i wykonała na kamieniu litograficznym Marja Dziewulska; odbito 4.000 egz. w drukarni i litografji Jana Cotty.

„Rozszumiał się, rozhoworzył czarny bór z wieczora: idą, idą świerki młode do białego dwora.“

Rośnie serce, kiedy się czyta — ulubione już przez parę pokoleń dzieci — słowa znakomitej pieśniarki, ujęte w wysoce artystyczną i nawskroś swojską oprawę graficzną. Każda stronica ma tu swój wyraz odrębny i niezachwianą równowagę konstrukcyjną. Przy niesłychanem ubóstwie środków (artystka operuje tylko trzema barwami: czarną, zieloną i czerwoną) siła i bogactwo ekspresji. Lis, jelen, zając, wiewiórka — mają właściwy sobie gest i fizjognomję, która napełnia utrwała się w pamięci wzrokowej małych czytelników.

A jaka radość dla Mamusi, której dzieciństwo upłynęło wśród tych samych, wprawdzie, wierszyków, ale jeszcze ilustrowanych niemieckimi chromolitografjami! Miejmy nadzieję, że „Chojnka“ nie będzie odosobniona, i że wkrótce ukazą się dalsze książeczki, zdobione tym samym rylcem utalentowanej graficzki.

Przypuszczać należy, że nadchodząca gwiazdka wyczerpie cały nakład „Chojnki“, która może być ozdobą nie tylko dziecinnego pokoju, ale i półeczki na „ulubione książki“ w bawialni rodziców.

S. P. O.

„Wesele Małgorzatki“ — napisała Janina Porazińska, rysował Stanisław Bobiński, wydawnictwo M. Arcta, w Warszawie. Cena zł. 6.

Skojarzyć artyzm poetycki z folklorem, rzecz to nienowa, ale zawsze świeża i mile witana, zarówno przez starszych, jak i młodych czytelników, zwłaszcza, gdy jej dano tak pociągającą szatę, jak „Wesele Małgorzatki“. Uświęcone wiekami etapy chłopskiego wesela: sprosiny, pieczenie kołacza, pożegnanie panny młodej z domem rodzinnym, jazda do kościoła, ślubowanie przed ołtarzem, uczta weselna, oczepiny, poprawiny — znalazły echo w dzwicznym słowie, trafnie podchwytyjącem rytm ludowej piosenki, ton ludowej opowieści.

Na końcu pięknie wydanej i bogato ilustrowanej książki autorka podaje komentarz prozą, wyjaśniający opiewane obyczaje, z których wiele, niestety, już się stopniowo zatracił. Tem cenniejszym podarkiem gwiazdkowym będzie „Wesele Małgorzatki“, zarówno dla tych, którym drogie jest swojskie oblicze naszej wsi, jak i dla tych, którzy to oblicze poznają tylko z książek.

Życzymy sympatycznej poetce, aby rychło urządziła swym czytelnikom zapowiadane „poprawiny“, również udane i tętniące uciechą, jak „Wesele Małgorzatki“.

S. P. O.

Łwa Szelburg. — „Jak Bożątka z Niebożatką nową bajkę znaleźli“. Biblioteka książek różowych. Warszawa, 1927 r.

Książka cała pachnie cudownością przyrody takiej właśnie, jaka przedostaje się do świadomości dziecka, przyrody, która jest złotem słońca i tajemniczą gwiazdą cichych wieczorów, gdy księżyc — „Nocy budowniczy“, — buduje swoje błyszczące mosty, po których schodzi bajka, „jakiej jeszcze nie było“. Wszystko w tej książce jest zaczarowane wielkim optymizmem autorki, która każe biednemu, trzepotliwemu sercu Niebożatki wyrwać się z szaro-burego miasta z pod władzy grubej „Kumochy“, odnaleźć życie pełniejsze i jasne. „Miłością, trudem i poświęceniem wyczarowałeś mnie z usychającego drzewka“, powiedziało Bożątka do Niebożatki, i to jest właśnie przyczyną całego uśmiechu tej ślicznej książki, tak jak jest przyczyną przemiany życia w szaro-burem mieście, na zaczarowaną bajkę. Bajka się kończy. Niebożątka pewno wróci do Kumochy, ale wróci ze słońcem w duszy, które rozświetli mroczną izbę miejską. Książka jest tak pełna radości dziecinnych marzeń, że nawet przeocza się zawarta w niej nauka moralna, która właśnie przez swoją subtelność przeniknie łatwo i głęboko do serduszka dziecka. A styl? Styl jest przesliczny, dziecinny, prosty i bezpośredni. Książka jaknajbardziej dla dzieci.

Z. M.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

BOŻE NARODZENIE W SZWECJI



Kobiety niosą na targ lichtarze domowej roboty w kształcie krzyżów.

ŻYCIE KOBIECE W HISZPANII

Bardzo mało słychać było dotychczas o ruchu kobiecym hiszpańskim. Utało się nawet ogólne mniemanie, że hiszpanka jest kobietą ultra konserwatywną, i że możemy mówić o niej najwyżej, jak o bohaterce jakiegoś miłosnego dramatu, o jakiejś Carmenie, lub innej donnie z tragedji płaszcza i szpady.

Tymczasem jest zupełnie inaczej. Kobiety hiszpańskie bardzo spokojnie, skromnie, bez rozgłosu i — co zapisać należy na dobro mężczyzn — prawie bez walki osiągnęły najpierw dostęp do wyższych uczelni. Z wiedzy tej korzystają z zapałem i dziś znajduje się już w Hiszpanji ogromny zastęp lekarek, prawniczek, i profesorek wyższych uczelni. W handlu i przemyśle kobiety doszły również do poważnych zdobyczy, i nie zaznacza się tu wcale ia ostra konkurencja i niższe szacowanie pracy kobiecej, które w innych krajach wywołują takie rozgoryczenie.

W rok po ukończeniu wojny powstało pierwsze stowarzyszenie kobiece „Związek Kobiet Hiszpańskich”, a w parę lat potem generał Primo de Rivera, dekretem z dn. 10 marca 1924 r. nadał prawo bierne czynne do samorządu kobietom, które ukończyły lat 25 i pracują samodzielnie. Jest to b. oryginalny, ale niepozbawiony celowości eksperyment: — prawa obywatelskie stanowią tu jakby nagrodę samodzielnej pracy.

Przy pierwszych zaraz wyborach weszła duża ilość kobiet do instytucji samorządowych, a donna Marja Perez Molla została wybrana na burmistrza miasteczka Cuatrecordada w prowincji Alicante. Była to pierwsza kobieta-burmistrz w Europie.

W roku bieżącym zwołane zostało w październiku do Madrytu zgromadzenie narodowe, którego zadaniem ma być przeprowadzenie zmian w przestarzałym kodeksie karnym hiszpańskim i ustalenie przyszłego ustroju parlamentarnego. Panuje zaś opinia, że będzie ono etapem przejściowym od panującej obecnie dyktatury, do systemu konstytucyjnego. Do tego zgromadzenia powołano w imieniu króla 400 obywateli: ministrów, wysokich funkcjonariuszy państwowych i samorządowych, polityków, profesorów i t. p. Między nimi znajduje się 13 kobiet, członkiń wszystkich stronnictw, od najbardziej prawicowych, aż do socjalistycznych. Jedną z tych pań została sekretarką prezydenta zgromadzenia.

N. J.

WYSTAWA POLSKIEGO ZDOBNICTWA LUDOWEGO WE FRANCJI

Jak donosi wychodzące w Paryżu „Echo Polskie”, w miejscowości Merlebach-Ereyminy, w Alzacji, została otwarta wystawa polskiego zdobnictwa ludowego, zorganizowana z inicjatywy Związku Tow. Polskich we Francji wschodniej.

Wystawa ta stała się niezwykle ważnym wydarzeniem dla wychodźstwa polskiego we Francji.

Między rozmaitemi eksponatami znajduje się na wystawie wspaniały kostjum krakowski, wykonany w pracowni teatru miejskiego w Krakowie, oraz kilkadziesiąt lalek w strojach narodowych polskich, wykonanych przez uczennice szkoły sztuki stosowanej w Krakowie.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne z Warszawy nadesłało szereg okazów sztuki ludowej polskiej w postaci kilimów, białych i kolorowych haftów, pisanek, rzeźb, zabawek drewnianych, wystrzygane i t. p.

Bardzo energicznie poparło wystawę nauczycielstwo polskie na wychodźstwie, dzięki czemu młodzież szkolna wzięła w niej żywy udział i nadesłała dużo okazów.

Na uroczystość otwarcia wystawy przybyły delegacje wszystkich kolonij polskich we Francji ze sztandarami, nawet z najodleglejszych miejscowości.

Wystawę otworzył uroczystym przemówieniem dr. Nieduszyński, konsul polski w Strassburgu.

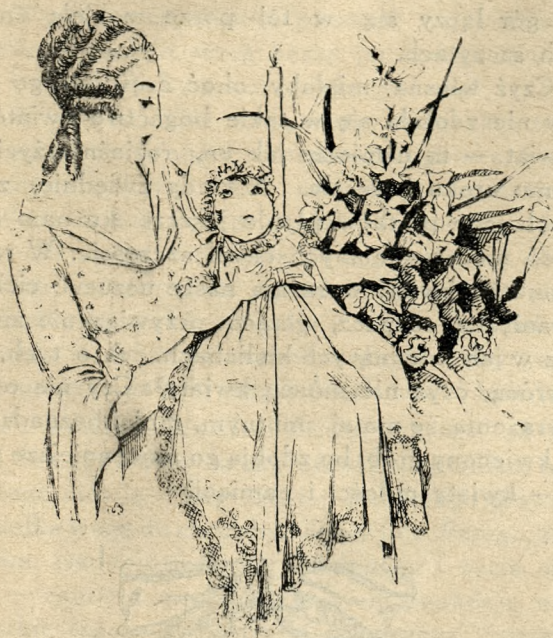
H. S.

„NARZECZONA ŁUCJA”



Ciekawy zwyczaj świąteczny, zachowany po dziś dzień w Szwecji. Dnia 30 grudnia, wczesnym rankiem, młoda dziewczyna, białą odziana, z wieniem zieleń na głowie, w którym tkwią zapalone świece, budzi ze snu wszystkich domowników.

KWIATY I ŻYCIE



W dzień chrztu małości — ich biel rozjaśnia otoczenie...

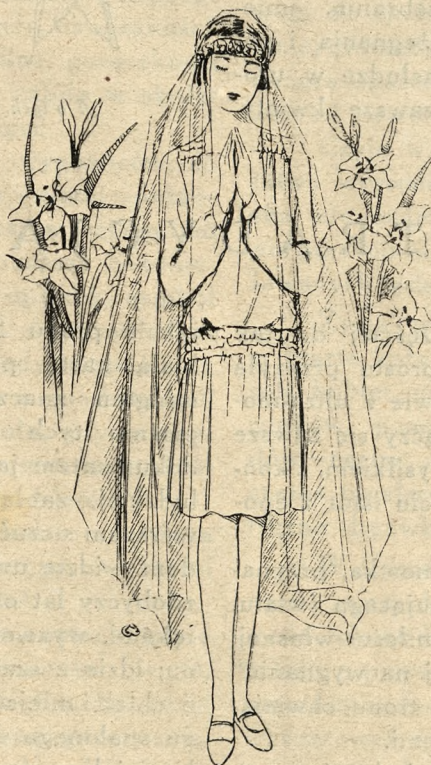


Kwiatami znaczy się najszcześniejszy okres życia dziewczyny — narzeczeństwo.

Czy zastanowiłyście się kiedy, jak ścisły związek łączy nas z kwiatami? Jak wielki biorą udział w radosnych i bolesnych chwilach naszego istnienia, jak otaczają je swoją wonną obecnością? Zaledwie otworzą się ślepki nowonarodzonej istotki — śpieszą przy jej kolebce zaznaczyć radość i powinowactwo. W dzień chrztu małości ich biel rozjaśnia otoczenie, świadczy o serdecznych uczuciach przyjaźni, wyrażającej za ich pośrednictwem najlepsze życzenia. Również białe są kwiaty, nadesłane dziewczątku w wielkim dniu pierwszej Komunii. Na całe życie zachowa ono w pamięci bzy białe, pęki drżących dzwonczków konwalji, białych róż i wonne lilje kielichy, co łączą w harmonijny akord wiosnę jej życia z wiosną natury. Czy to w koszach, czy w wiązkach, czy też jak żąda tego obecnie moda, — ofiarowanych w zwykłych, glinianych doniczkach (żyjemy wszak w epoce oszczędności i prostoty) muszą takie kwiaty być spowite w zwoje tiulu, podnoszącego ich śnieżną białłość, będącego symbolem złudzeń, otaczających nas w czarowne, wiosniane dni. Powodzą kwiatów znaczy się najszcześniejszy zwykle okres życia dziewczyny —

narzeczeństwo. Po pierwszym, obowiązkowo białym, hołdzie zakochanego młodzieńca, bogactwo ich kolorów występuje w całej pełni. Pierwszeństwo mają róże, które, rozporządzając gamą barw, dają wyraz uczuciom przywiązania, gorącej miłości, nawet — zazdrości. Czas trwania tych niepowrotnych chwil jest, poniekąd, jedną wonną wiązką kwiecica, mniej lub więcej kosztownego, stosownie do środków młodej pary. W dniu zaręczyn, dziewiczego wieczoru i innych, ważniejszych okoliczności, kwietne podarunki przybierają wspańalszą postać, ograniczając się przy codziennych odwiedzinach do skromnych pęczków różnych, nawet polnych kwiatów.

Po czarownych chwilach narzeczeństwa przychodzi najważniejszy dzień życia dziewczyny — dzień ślubu. Nadesłany kosz od „Niego“ zazdrośnie kryje swoje białe bogactwa w mgłach illuzji — ostatniem złudzeniu. Jutro przyniesie pełnię życia z jego urokami i rozczarowaniami. Do wspańałego daru przyszłego towarzysza łączy się w tym dniu wiele innych kwiatów: ślubny bukiet panny młodej, białe kiście, zdobiące jej mieszkanie i karetę; kwitnące



Białe są kwiaty nadesłane dziewczątku w wielkim dniu pierwszej Komunii



Po czarownych chwilach narzeczeństwa przychodzi — dzień ślubu

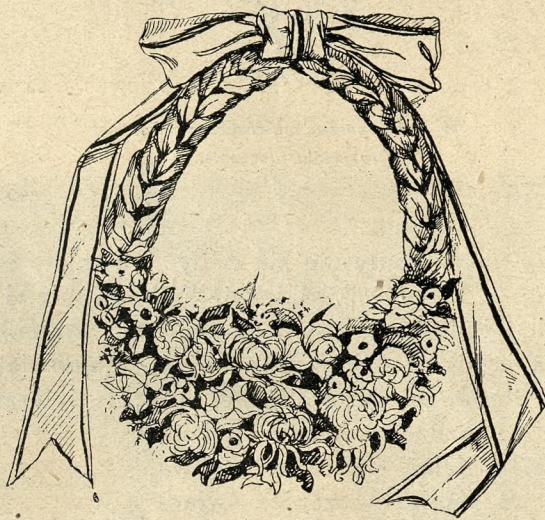
białe rośliny, otaczające poetycznym czarem powagę ołtarza — zasypany białymi kwiatami biesiadny stół; odurzający zapach róż, konwalij, tuberoz; ukwiecony orszak weselny — nadaje pozór bajki tym radosnym chwilom marnia, rozwianego bukietem szkarłatnych róż, witających młodą panią u progu jej nowego mieszkania. Do przystrojenia orszaku ślubnego moda wybrała obecnie róże i konwalje, usuwając w krainę wspomnień mirt i kwiat pomarańczowy. Nie sądzę jednak, aby jej się to na dłużej udało: za silnie wiąże nas z niemi tradycja. Niezbędne niedawno jeszcze w rękach pań i panienek z orszaku wiązanki, stanowczo nie są używane — przy dzisiejszych, bajkowych cenach kwiatów nie zmartwimy się tem zapewne

W ciągu dalszego życia kwiaty zjawiają się przy każdej sposobności. Większe zebrania, imieniny, Rok Nowy, wielkie święta, pożegnania i powitania kochanych, hołd, składany zasłudze w uroczystych dniach jubileuszów, — to zawsze kwiaty.

Poetyczny, obchodzony 1-go maja we Francji, dzień święta konwalji zdobi każdego, najbiedniejszego nawet, żdźbłem tego kwiatka. W Szwajcarii (15-go maja) święcą święto narcyzów, których biel na stokach gór łączy się w tej porze z bielą śniegów na ich szczytach.

Czyż wiosna miałaby choć część swego uroku, gdyby nie zdobiła się w takie bogactwo kwiatów? — Bo kwiat — to uśmiech: jak on, rozjaśnia życie, dodaje mu uroku i wesela. A kiedy zwiednie, z zasuszonych jego płatków płynie jeszcze ku nam subtelna woń niezapomnianych chwil szczęścia. W radości, i w smutku kwiaty wyrażają nasze uczucia: cichy żal, bezgraniczną rozpacz, gorące przywiązanie znajdują wyraz w ich wędnących kielichach. A o tych, co już nie wrócą, czyż nie mówią kwiaty? Czy nie odbieramy wrażenia, że mniej smutnym, mniej beznadziejnym jest ukwiecony grób, bo zdobią go najcenniejsze z kwiatów — kwiaty miłości i pamięci?

J. S



A o tych, co już nie wrócą, czyż nie mówią kwiaty?

TRADYCJA

Tradycja należy dzisiaj coraz częściej do tak zwanych balastów życiowych. Ot poprostu przeżyła się! Trąci myszką, ściera się nielitościwie z ultra-modernistycznymi prądami, a przytem łączy się zawsze nierozdzielnie z pewnym osobistym wysiłkiem, z koncesją na rzecz przeszłości, która w życiu istot z epoki radjowej niewiele zajmuje miejsca.

Tradycja, jak zresztą każda jednostka, przynależna do patrycjuszowskiego rodu, panującego świata, ma dużą dozę taktu i wyrafinowanej miłości własnej; to też wrosła w swoją rolę „królowej na wygnaniu” i — usunęła się dobrowolnie ze stopni tronu, chwiejących się pod jej namaszczone stopami.

Nigdy, bodaj, nie krwawi się tak boleśnie serce na myśl o podeptanych walorach życia rodzinnego,

jak u progu Świąt Bożego Narodzenia! Jeżeli na białą kartę papieru, którą najnowszego typu Remington znaczy szeregiem małych literek, przy pisaniu tych słów upadnie łza, nie będzie ona dokumentem jednej, odosobnionej, egoistycznej jaźni ludzkiej, zabłąkanej wśród wirów nowego życia, ale wyrazem uczuć olbrzymiego zastępu, który idzie z prądem — idzie umysłem, garnącym się do imponujących zdobyczy lat ostatnich; idzie czynnemi, pracowitemi rękami, wyzwolonemi z pól snu letargicznego bezczynu; idzie z szeroko rozstawionemi łokciami w walce o chleb i miejsce, — a jednak duszą i sercem leży u progu spalonego domostwa, ramionami otacza pień stuletniej lipy, co rzucała rozkoszny cień na jego dziecięcą swawolę, a uchem łowi melodję staroświeckich

kurantów, zwiastujących niepowrotne godziny życia. Czyż wolno dzisiaj, w Wolnej i Niepodległej, cudem i krwią zmartwychwstałej Ojczyźnie,—cofać się wstecz i żałować?

Wszak rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania, wypełnia serca nasze po brzegi, rwie się na usta wszystkich hymnem dziękczynienia!

A jednak... Cóż mają rzeczy maluczkie, zamknięte w czterech ścianach domowego ogniska, przeżycia promienne i śliczne... coż ma snop, wspierający się o bielone ściany cudem ocalałego dworku modrzewiowego, coż siano rozesłane pod śnieżystym obrusem, dzwonek, co rozwiera szeroko tajemnicze podwoje, tradycyjna pasterka, melodia kolend staropolskich,—coż mają w sobie za moc destrukcyjną, aby uwłaczać, lub zagrażać miały w czemkolwiek nowej formie życia?

A jednak... Jesteśmy dzisiaj wszyscy, od najstarszych do najmłodszych, zagrożeni podeptaniem tradycji. Dlaczego mówię — zagrożeni — i dlaczego przywiązuję tak wielką wagę do choroby wieku? Oto dlatego, że z usunięciem tradycji z życia rodzinnego i życia społecznego — zamiera piękno, a z niem popadają w letarg wszystkie lepsze i szczytniejsze odruchy, wszystko, co wzniosłe i rzewne — zostają tylko: naga prawda, gorączkowe ubieganie się o kęs chleba, spychanie w przepaść słabszych, dążenie ku coraz płytszym uciechom, życie chwilą — bez rzutu oka wstecz i naprzód.

Życie rodzinne, ogołocone z tradycji,—to kwiat bez woni, to środowisko, które przysporzy światu jednostek oschłych, zapatrzonych w siebie, jednostek, trawionych pustką wewnętrzną, którą zagłuszać muszą sztucznie, aby ich nie zdławiła.

Na to odrzucenie od siebie walorów, napozór zbędnych, złożyło się wiele smutnych okoliczności. Lata wojny, ruina moralna i materialna, gorączkowa praca, która, utrudzając ponad miarę, zabiła w skołataniem ciele odruchy pragnień i pamięci.

Jakże było żądać od smutnych wygnańców, co gdzieś na poddaszu trzęśli się z zimna i głodu—dobrowolnego rozkrwawiania ran, wskrzeszania wspomnień o cichem szczęściu domowym wśród rzeszy bezdomnych?! Jakże było kłaść poświęcany opłatek, symbol radości i wesela, w ręce, które tuliły do rozszlochanej piersi małą grudkę ziemi — jedyną spuściznę po wiekowej pracy ojców, dziadów i pradziadów?! Jakże było zasiąść do wigilijnego stołu, gdy w opustoszałych kątach snuły się rzędem smutne mary, których krew wsiąkła w zoraną granatami ziemię?!

Ale dzisiaj? Od czego uciekają ludzie z zacisza własnych ścian, z kręgu domowej lampy, w której światło czeka ich tyle radości i wesela?

Co roznoszą po zatłoczonych pensjonatach, gdzie pierwsza gwiazda — zwiastunka promiennego Świąta, zastaje ich wśród grona obcych, dalekich ludzi, gdzie biel opłatka przestaje być symboliczną przenośnią, a zmienia się w jakąś niezbędną, teatralną dekorację? Od wspomnień? Nie. Wspomnienia—i złe i dobre,

wspomnienia z tamtej strony życia—stały się już czemś czytaniem, nie przeżyciem. Czas—ten najpewniejszy z lekarzy—położył na nich swą dłoń kojącą; prawo ewolucji przyniosło ze sobą nowy kształt i nową treść.

Otworzyły się szorokie horyzonty zrozumienia, że sens życia dalekim jest od osobistego dobrobytu i wiecznego opłakiwania minionej świetności jednostek. Przeszedł czas narzekania,—nastąpiła era budowania przyszłości. Ciężko nam jest wszystkim—to prawda, ale rekonwalescencja po długiej, omal że nie śmiertelnej chorobie nigdy lekka, ani wesoła nie bywa a jednak jest zawsze radosna.

Wiele razy obilo mi się o uszy, że ludzie uciekają z domu na Świąta, bojąc się trudu i kosztu. To pierwsze, chociaż egoistyczne, jest jeszcze poczęści logiczne i zrozumiałe; ale to drugie?

Po pensjonatach zimowych „stolic“ ceny świąteczne są zawrotne. Dochodzi do nich podróż, wydatki „nieprzewidziane“, których rubryka nie da ująć się w ciasne ramy. Czyż to nie starczy na spędzenie Świąt w domu? Zapewne, trzeba się będzie obejść bez dawnych korowodów potraw, bez licznych gatunków ryb, kosztownych podarków. Ale na przystosowaniu ślicznej tradycji do budżetu powojennego inteligenta — ona sama nie ucierpi nic, nie straci uroku i ożywczej siły, szczególnie, jeżeli nie zamknijemy się w tym dniu w egoistycznej skorupie wyłączności, szczególnie, jeżeli będziemy umiali wyłowić wśród rzeszy naszych znajomych—każda—choć po jednym rozbitku i dać mu na chwilę zapomnienie smutnej doli, ogrzać jego skostniałe, samotne serce!

Coraz częstszym jest objaw nieprzywiązywania wagi do zjednoczenia rodziny w tych dniach, co dawniej gromadziły wszystkich. W pierwszej linii młodzież, dążąca uparcie za rozrywką jedynie, zdaje się nie rozumieć nawet uroku Świąt, spędzonych w domu.

Czyja w tem wina? Lch, czy nasza, że się tak łatwo wyrwali poza świetlany krąg domowego ogniska, nie rozumiejąc nawet uroku przeżyć, przez które nie przewija się melodia „Dulcynei“, lub innego z umiłowanych szlagierów?!

Życie wróciło już i wraca z każdym dniem w utarte koryta normalnego biegu. Naszą jest rolą, rolą kobiet, nadać mu—pomimo przekształconych warunków, pomimo realistycznych i egoistycznych prądów—cechy uroku i wdzięku, który uśmiechnię się czemś trwalszem, niż ukarminowane wargi i epileptyczne drgawki charlestona!

W formę, którą lepiły brutalne ręce tak zwanych „warunków chwili“, kobieta, i tylko kobieta, może tchnąć ducha, łącząc w harmonijny akord przeszłość z przyszłością, rzucając złoty most, co połączy zarośnięte darniną mogiły z kolebką nowego bytu,—wyczarować symfonię, w której nie będzie wrzaskliwych nut, głuszających szept nabożnego wspomnienia.

Wanda Dobrzańska.

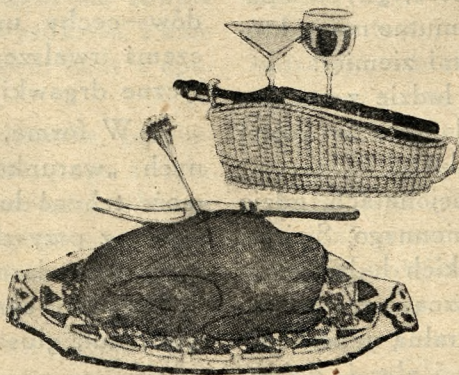


CO KRAJ TO OBYCZAJ

Święcenie dni uroczystych specjalnem dogadaniem podniebieniu jest cechą wszystkich narodów, co bynajmniej nie znaczy, aby potrawy używane były jedne i te same. Niezbita prawdą jest jedynie, że najbardziej dbający o zdrowie, najwierniejsi przepisom lekarza—zapominają o diecie, poddając się urokowi spożywania tradycyjnych dań. U nas, gdzie surowo zachowujemy post w Wigilię Bożego Narodzenia, (niestety, tylko co do jakości, bo o ilości nie można tego powiedzieć)—niepojętem byłoby podać zamiast ryb, przyczyniających gospośom tyle zgryzoty — kotletów wieprzowych ze szpinakiem, duszonym w słoninie, jak we Włoszech, albo gęsi pieczone z kasztanami, jak we Francji. To, co piszę nie jest wymysłem bujnej wyobraźni: są to wspomnienia niedawnej przeszłości, kiedy, jadąc na święta Bożego Narodzenia do rodziny zamieszkałej w Nizy, wskutek gwałtownych opadów śnieżnych opóźniliśmy się o kilkanaście godzin, dzięki czemu, zamiast w zaciśnionym mieszkanku przy ogniu kominka, spędzałam ten uroczysty wieczór w wagonie, gdzie podano mi

na jednej z dużych stacyj włoskich wieczerzę wigilijną, z której pozostały mi w pamięci tylko owe kotlety wieprzowe; inne dania były niemniej wyszukane. Z tej nocy również mam wspomnienie odgłosu dzwonów ze stu pięciu kościołów Wenecji, które w chwili, gdy wjeżdżaliśmy do niej, rozbrzmiewały po lagunach, niosąc radosną wieść Narodzin Dzieciątka Bożego i wzywając wiernych na Pasterkę.

We Francji miałam również sposobność poznać jadłospis potraw, podawanych na stołach możnego mieszczaństwa w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Najpopularniejszymi są: kiszki smażone, gęś pieczona z nadzieniem, raki „en buisson” omlet „mousseline” i—korona wszystkiego — angielski plumpudding, którego przepis przywędrował do Francji z za Kanału. Podany na okrągłym półmisku, oblany mocnym rumem, który zapala się w chwili stawiania na stole, witany bywa okrzykami radości zgromadzonych, zwłaszcza, jeżeli mróz wyiskrzył niebo gwiazdami, śnieg zaściela zmarzniętą ziemię, a tlejące głównie na kominku potęgują rozkosz prze-





bywania w ogrzonym pokoju przy dobrze zastawionym i starannie nakrytym stole.

Gdyby nie szczupłość ram, w które muszę ująć moje wspomnienia, dałabym paniom autentyczne, bardzo niezwykłe, przepisy tych smakołyków,—a tak, stosując się do siły wyższej, przytoczę tylko sposób przyrządzania ulubionych francuskich „boudins” (kiszek), na które przesmaża się na rumiano pół kilo cebuli, drobno usiekanej, z 30 deka świeżej słoniny od grzbietu, pokrajanej w drobną kostkę. Ściągnawszy następnie z ognia, wlać 2 litry świeżej krwi wieprzowej, prędko wymieszać z zasmażoną słoniną i cebulą, dodając, do powstałej masy dużą szczyptę trybulki, pięć listków drobno usiekanego estragonu, trochę pieprzu, żdźbło muszkatołowej gałki i soli do smaku. W rondel wlać szklankę konjaku, wymieszać wszystko dokładnie i nalewać niezupełnie pełno w dobrze oczyszczone, cienkie kiszki wieprzowe, zapinając końce ostrymi drewnianymi szpilkami. Włożyć w kociołek z wrzącą wodą,

natychmiast zsunąć z ognia na ciepłą blachę tak, aby woda tylko drżała, a na spodzie naczynia ukazywały się bąbelki. Po dwudziestu minutach wyjąć kiszki łyżką druzlakową, dobrze osączyć z wilgoci i zostawić do zastygnięcia. Kiszki nałożone przewiązywać na surowo na dowolną długość, brać tyle naraz wiele potrzeba, i przed podaniem odsmażyć na szmalcu tak, aby skórka chrupiała.

Opowiem paniom jeszcze anegdotę o rakach, które podają na zakończenie uczty wigilijnej i zwą: „mets d'amour.” Otóż wielki naturalista Cuvier, pod

którego kierunkiem pracował szereg akademików nad wydanym przez niego słownikiem, wszedłszy raz do sali, usłyszał takie określenie: „rak, jest to czerwona rybka, która chodzi tyłem”. Wielki badacz natury uśmiechnął się pobłażliwie z nieuctwa swych współpracowników i, zwracając się do nich, powiedział: „Panie! wasze określenie byłoby wyjątkowo trafne gdyby rak był rybą, miał barwę czerwoną i pływał tyłem.”

Hanna W.



TRWAŁE CHOINKI

Choinki dlatego tracą swoje igły, że w lesie i na dworze są w uśpieniu, a gdy je wniesiemy do ciepłego pokoju, zaczynają się ożywiać i igły wyparowują wodę, pobraną z pnia. Ponieważ wilgoci w pniu jest mało, więc wkrótce zapas jej się wyczerpuje, igły zupełnie zamierają i syją się na podłogę. Ze względu na zaśmiecenie, obsypując się choinkę, jaknajprędzej rozbierają i wyrzucają. Jeżeli choinkę oprawić zaostrzonym końcem w tak wysokim postumencie, żeby można było pod nim postawić naczynie z wodą, i ten koniec w niej zanurzyć, to choinka będzie czerpać wodę i dłuższy czas pozostanie przy życiu. Na miejsce zużytej wody

trzeba dolewać nowej. Tym sposobem choinka może przy życiu pozostać całe tygodnie. Im chłodniejsze jest miejsce, gdzie stoi choinka, tem mniej traci ona wilgoci i dłużej pozostaje żywą, szczególnie, jeśli czerpie wodę z podstawionego pod nią naczynia.

Po zdjęciu wszelkich ozdób z choinek, najczęściej są one palone. Można z nich jednak mieć jeszcze pewien pożytek. Jeżeli boczne gałązki nie pogubiły igieł, to można je użyć do okrywania grządek, ażeby kury nie wygrzebywały z nich posianych nasion. Gałązki bez igieł mają tu mniejszą wartość. Samo drzewko, po obcięciu gałęzi, może być

użyte, jako kolek, zależnie od swej grubości, do drzewka, krzaku róży, lub krzaku pomidorów. Czubek obcinają przy pierwszym rozgałęzieniu, wszystkie gałązki przycinają i wiążą, ażeby boczne więcej się wgięły do środka. Gdy uschną, to środkową pozostawiają bez zmiany, a boczne obcinają na szerokość dłoni i mają z nich kuchenne wieszadło. W Niemczech, po zdjęciu ozdób, całą choinkę jeszcze raz używają, jako „choinkę dla ptaków”. W ciepłym szmalcu zanurzają ziarna słonecznika, konopi i inne jadane przez ptaki, smarują tą mieszaniną wszystkie gałązki choinki i wystawiają na chłodne powietrze, gdzie ptaki mają wspaniałą ucztę. Takie podkarmianie ptaków jest bardzo celowe, bo jeżeli je utrzymamy przy życiu, to na wiosnę wytepią nam mnóstwo szkodliwych owadów, i przyjemnie nam będzie posłuchać ich śpiewu.

Inż. J. Lentz.



O SPRAWIANIU I PRZYZRZĄDZANIU RYB

Każda ryba, używana w kuchni, musi przede wszystkim być zupełnie świeża, — gdyż ryba nawet w początkowym stadium rozkładu jest bardzo szkodliwa — można powiedzieć — trująca. Nie koniecznie jednak, a raczej, nie każda z nich jednak musi być żywa. Naprzykład sandacze nigdy prawie nie dochodzą na nasz rynek w stanie żywym. Najlepsze są w smaku, jeśli zaraz po wyciągnięciu z wody zostaną mocno zamrożone. W taki sposób zamrażają sandacze w Rosji i całemi — nie wagonami już, lecz pociągami wysyłają zimą zagranicę — między innymi i do nas, do Polski. Świeżość zamrożonego sandacza i wogólności zamrożonej ryby poznać bardzo łatwo. Ryba powinna mieć oko pełne, a całą powierzchnię równą, bez żadnych przyciśnień, zagłębień; powinna wyglądać tak, jakby nagle zeszytniała, (co zresztą rzeczywiście miało miejsce). Ryby śnięte, nie zamrożone, „na lodzie”, jak je w Warszawie nazywają, o ile są świeże, nic w smaku rybom żywym nie ustępują. Świeżość ich poznać można po czerwoności skrzeli, wypukłości oka, jędrności mięsa. Ryba, na której, po mocnym przyciśnięciu palcem, pozostaje dółek, — jest nieświeża, taksamo ryba o zapadniętych oczach. Ości, odstające od mięsa, świadczą o wysokim stopniu rozkładu: — taka ryba już jest nie tylko nieświeża, lecz szkodliwa dla zdrowia. Rybę żywą należy przed sprawianiem zabić. Wykonywa się to za pomocą mocnego uderzenia tępym narzędziem w staw u nasady głowy. Czasem uderzenie należy kilka razy powtórzyć, aż ryba zupełnie zeszytnieje

i przez minut kilkanaście żadnego znaku życia nie daje. Jest prawdziwym barbarzyństwem sprawianie ryby, drgającej w ręku i wijącej się pod nożem.

Wprawni kucharze zdejmują łuski z ryb całemi pasami, używając do tego tylko wąskiego nożyka. Mniej wprawne osoby lepiej robią, używając do tego zwykłej lub specjalnej tarki, przyczem zdejmowanie łusek należy zawsze zaczynać od ogona. Dopiero po zupełnem usunięciu łusek i umyciu ryby, otwieramy ją, robiąc jak najmniejsze nacięcie około głowy. Przez otwór ten wyciągamy przedewszystkiem wątrobę ryby z żółcią, uważając, aby tej ostatniej nie roznieść, przez co zepsulibyśmy całą rybę, nadając jej niczem nie dający się usunąć smak gorzkawy. Po wyjęciu wątroby, natychmiast żółć z niej ostrożnie wycinamy i odrzucamy. Sama wątróbka rybia jest nadzwyczaj smaczna i u niektórych ryb dochodzi do ogromnych rozmiarów. Przedewszystkiem zaś u miętusów. Taka wątróbka miętusa, jako rzadki przysmak, ma duże zastosowanie w wykwintej kuchni: robią z niej nawet specjalne konserwy. Dużą wątrobkę ma też szczupak. Oddzielnie usmażona na maśle i zaciśnięta cytryną, jest pierwszorzędnym smakołykiem. Nakoniec, karpie mają delikatną wątrobę, która się gotuje wraz z rybą i stanowi prawdziwy „morceau de choix”. Po wyjęciu wątróbki, wydajemy mleczko i ikrę, wyciągamy pęcherz rybi, żołądek i kiszki. Niektóre ryby, — a z naszych — głównie szczupak, są tak żarłoczne, że prawie zawsze w żołądku ich mieści się druga ryba, nieraz duża, co ogromnie zwiększa wagę ryby, a zmniejsza jej użyteczność. To też, kupując szczupaka, należy uważać, aby nie miał zbyt grubych boków. Po usunięciu wnętrzności, mleczko i ikrę zachowujemy do użycia, czasem wraz z rybą, czasem oddzielnie. Mleczko jest zawsze jedną z najdelikatniejszych części ryby, a z ikry niektórych gatunków ryb, odpowiednio posolonej, możemy mieć różne surogaty kawioru do przekąski. Oprócz ikry jesiostra, czyli kawioru czarnego, prawdziwego, wcale smaczny kawior dają łososie, a mniej okazały, bo drobnoziarnisty, — szczupaki i sigi. Po oczyszczeniu ryby, należy rybę zewnątrz i wewnątrz posolić, i dać jej tak poleżeć godzinę, albo więcej. Ryby zamrożone należy zanurzyć w zimną wodę: prędzej i lepiej odtają, niż rozgrzewane na sucho.

Dużą trudność w czasach dzisiejszych, kiedy mało kto posiada kuchnię, w dostateczną ilość naczyń zaopatrzoną, przedstawia gotowanie ryb dużych. Powtarza się ono dosyć rzadko, przeważnie na wilej i na większe przyjęcia. Duże waniénki do ryb są rzeczą bardzo kosztowną, a ryba, o ile ma być podana na gorąco, powinna być gotowana w całości. Rybę krajaną można gotować tylko do podawania na zimno, w galarecie. Wtedy smak, który utraci ryba, odnajdziemy właśnie w tej galarecie. Można sobie z tem

poradzić w ten sposób: całą rybę zawinąć mocno w serwetę (dobrze wyparzoną, aby nie czuć jej było mydłem), zgiąć tak, aby weszła w duży rondel, i w nim ugotować. Wyjąć prędko, rozprostować na półmisku i ostrożnie odwinąć płótno. Ryb faszerowanych tak robić nie można, bo się rozsypią. Ryby do smażenia i do duszenia w sosach, krajemy naprzód wzdłuż grzbietowej ości, potem na ładne porcjowe dzwona, przyczem należy z nich, o ile się da, nie psując kawałków, pousuwać wszystkie ości. Ryby do smażenia „Orly“ strugamy ostrym nożem, w długie, a cienkie pasy, tak, że ość grzbietowa i ości inne, duże, pozostają zupełnie czyste. Rybki drobne, na przykład stynki, sielawki i t. p., o ile podajemy smażone, należy po kilka nanizać na patyczki, wystrugane z drzewa, lub na platerowane szpadki, używane w kucharstwie. Przenizuje się je przez oczy i smaży tak razem, poczem układa wraz z patyczkami na półmisku. Takie rządki ryb bardzo ładnie wyglądają, bardzo łatwo się nabierają na talerz i są wygodne do jedzenia.

Jeżeli chodzi o układanie specjalnych jadłospisów wigilijnych — jako jedynych prawie posiłków, w których po kilka ryb figuruje, — to należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, aby nie mieć ryb zbyt do siebie podobnych w smaku. Jeżeli mamy dwie ryby tylko, to dajemy jedną gotowaną, a drugą smażoną; lub też jedną faszerowaną z sosem, a drugą pieczoną z sałatą; lub też jedną na zimno w galarecie, czy majonezie, a drugą na gorąco, gotowaną z jakimś tradycyjnym sosem, na przykład chrzanowym, albo rodzenkowym.

Jeszcze większą należy zwrócić uwagę na urozmaicenie smaku ryb, jeśli ich mamy większą ilość w jadłospisie. Przy czterech na przykład, możemy pierwszą dać na zimno, drugą faszerowaną w sosie ostrym, trzecią gotowaną z masłem świeżem, lub sardelowym, наконец, czwartą smażoną, lub pieczoną z sałatą lub cytryną. Czem więcej dań rybnych zawiera jadłospis wigilijny tem bardziej pomysłowy powinien być jego układ.

Jeżeli mamy tak dużą sztukę, że nietylko z ugotowaniem jej są trudności, lecz i kredens nasz nie zawiera dosyć dużego dla niej półmiska, możemy sobie poradzić, oszywając serwetą lub innem czystem białem płótnem długą, czysto ostruganą deskę. Ryba, na niej położona i ładnie jarzynkami i zielenią udekorowana, doskonale się przedstawia. W dodatku taka deska jest łatwiejsza do podawania od szerokiej tacy, jaką sobie niektóre gospodynie duże półmiski zastępują.

Pani Elżbieta.



INDYK NADZIEWANY KASZTANAMI

Kilo kasztanów naciąć zlekka u góry i ugotować w lekko osolonej wodzie. Obrąć z obu łupinek, to jest ze zwierzchniej grubej i wewnętrznej cieniej. Te, co w obieraniu się nie pokruszą, pozostawić całe; inne, połamane (mniej więcej połowę całej ilości) utrzeć na misce, dodać 10 deka dobrego masła, 5 deka tartej bułeczki, 2 deka cukru, dwa żółtka, kilka utłuczonych migdałów (w tem dwa gorzkie), trochę muszkatołowej gałki, soli odrobine, kieliszek rumu i tyle śmietany, aby masa była dosyć wolna; nakoniec wymieszać to z ubitą z białek pianą i całemi kasztanami. Nadziać tem wole indyka, podnosząc skórę na piersi, aby farsz jaknajdalej zaszedł. Zaszyć dokładnie otwór około szyi. Nogi i skrzydła ładnie przywiązać, osolić indyka zewnątrz i wewnątrz, i upiec, narazie smarując, a potem polewając masłem, lub szmalcem. Aby się indyk nie przypalał, podlewać co pewien czas po parę łyżek wody. Do takiego indyka można podać każdy świeży, konserwowany, lub octowy kompot, borówki, lub zieloną sałatę ze śmietaną.

KURA PO WĘGIERSKU

Ugotować młodą, tłustą kurę w niedużej ilości rosółu, dodając marchewkę i pietruszkę. Gdy miękka, kurę wyjąć, ostudzić, pokrajać na osiem części; kawałki utarzać w mące i usmażyć na masle wraz z pokrajaną w plastry dużą cebulą. Ugotować oddzielnie w wodzie z solą kilka pokrajanych w kostkę kartofli; na pozostałym rosółu ugotować zwykłe, nieduże, krajane kluseczki. Kurę ułożyć na półmisku, z jednej strony obłożyć kartofelkami, z drugiej — klusieczkami. Z pozostałego rosółu zrobić soć biały, zaprawiony mąką z masłem, wysypać doń na koniec noża papryki, gorącym zalać kurę i podawać. Zamiast kartofli i klusieczek krajanych, można zrobić francuskie kluski kładzione, które ni na chwilę przed podaniem obkłada się kurę. Sos taki sam, jak w pierwszym wypadku.

FAWORKI ŁATWE I TANIE

Trzydzieści deka mąki, trzy żółtka, jedno jajko całe, sześć deka cukru, łyżeczka od kawy soli, kieliszek spirytusu, pół łyżeczki od herbaty sody i tyle śmietany, aby móc zagnieść ciasto, dające się wałkować bez podsypywania mąką. Wyrobić ciasto doskonale, wybić mocno o stolnicę, wałkować jaknajcieńiej, krajać na pasy i smażyć, jak zwykle, na rozpalonym szmalcu. Po usmażeniu, gorące jeszcze obsypać cukrem, utłuczonym z wanilią.

CIASTKA PONCZOWE

Przygotować foremki, jak do dużych babek, lub też wysokie foremki w kształcie szklaneczek do piwa, zwane po francusku „moules à darioles“, (w Polsce kucharze nazywają je „dariołkami“). Rozczynieć ciasto z ćwierć kilo mąki, sześciu deka cukru, trzech deka drożdży, ośmiu deka masła, czterech żółtek i pół szklanki mleka, lub śmietanki. Wybić doskonale, postawić w cieple, aby podrosło. Foremki wysmarować masłem, wysypać bułeczką, nakładać do foremek ciasto (do 3-ciej części), dać wyrosnąć powtórnie, upiec w miednie gorącym piecu. Tymczasem zagotować szklankę wody z pół szklanką cukru, sokiem i skórką otartą z pół cytryny, odstawić, wlać duży kieliszek araku, lub rumu. W braku ich, można dodać łyżkę ponczowej esencji. W płynie tym maczać gorące ciastka natychmiast po wyjęciu z foremek i układać na sicie, aby dobrze płynem nasiąkły.

OBWARZANKI SMAŻONE

Ćwierć kilo mąki, dwa deka masła, dwa deka drożdży, dwa jaja całe, pół filiżanki śmietany, odrobinę soli zagnieść na dosyć gęste, gładkie ciasto; dać podrosnąć dobrze, przerobić powtórnie, (cukru doń nie kłaść). Stolnicę posypać mąką, ciasto rozwałkować na pół palca, wycinać szklanką kółka, z nich kieliszkiem środki, aż ze wszystkiego ciasta porobimy takie obwarzanki. Dać wyrosnąć powtórnie, smażyć na rozpalonym szmalcu i posypywać cukrem, utłuczonym z cynamonem, lub z wanilią. Można też te obwarzanki smażyć na oleju i przed podaniem posypać solą, utłuszczoną z kminkiem.

ŚLIWKI Z MARCEPANEM

Duże śliwki francuskie otworzyć ostrożnie nożykiem z jednego boku i wyjąć z nich pestkę. Na kilo śliwek wziąć dziesięć deka migdałów słodkich, kilka gorzkich, sparzyć, oczyścić z łupinek, utrzeć na tarce, zmieszać z dwudziestu deka pudru i taką ilością wody różanej, aby można było zagnieść twardy marcepan.

Uformować z tego marcepanu jakby duże migdały, włożyć po jednym w każdą śliwkę, ładnie ją zacisnąć i wygładzić. Śliwki takie ułożyć w salaterce i zalać je gęstym syropem, ugotowanym ze szklanki cukru i pół szklanki wody. Syrop ma być gorący. Po dwudziestu czterech godzinach śliwki cały ten syrop wypiją i staną się soczyste. Przełożyć je do pudełka. Gdyby były zbyt wilgotne, obsuszyć przez godzin kilkanaście na sicie.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani J. E. Augustów. W polskich wydawnictwach niema poświęconych specjalnie robotom, o jakie Sz. Pani pyta, ani periodycznych, ani jednorazowych. Z zagranicznych—nie znam również podobnego wydawnictwa. Niech Sz. Pani napisze do której z większych firm wydawniczych paryskich, oni poinformują. Pod wskazanym adresem zamieszczone jest nazwisko dr. M. Zienkiewicz.

Pani E. C. Gowidlino. Kolor czerwony, o ile nie był prany w chlorku, powinien puścić czasem od zwyczajnego mydła. Trzeba prać i gotować w wodzie przegotowanej z marsylskim mydłem i powtarzać tę czynność dopóki plama nie wypierza się. Wypę wyprać w wodzie z chlorkiem, płókać w wodzie z octem i solą, aby utrwalić kolor. Suknię aksamitną trzeba przybrać szensylami, lub jasnymi popielicami, można również użyć złotych i srebrnych haftów, klamer, strassów itp. innych świecących ozdób. Biały filc czyści się zapomocą papki, zrobionej z łyżeczki najpiękniejszej mąki pszennej i takiej ilości benzyny, aby uformowała się łatwa do rozsmarowania masa. Po wyschnięciu, czyszczać ją zupełnie nową szczotką. Smarować miejsce przy miejscu, rozrabiając potrochu papkę, żeby benzyna nie ulatniała się. Po należytem pokryciu papką całego kapelusza i dokładnem wyszczotkowaniu go, będzie jak nowy.

Pani O. K. Międzyrzec. Sposób wyczyszczenia białego, filcowego kapelusza, podany jest w poprzedniej odpowiedzi. Chleb pęka od złych drożdży lub zadużej ich ilości. Proporcja najlepsza jest: na 4 litry mąki 5 dkg. Myszy trują się doskonale proszkiem „Tanatol“, w którym utaczać małe kawałeczki mięsa pieczonego, lub każdego innego i porozkładać w miejscach gdzie myszy najbardziej gospodarują. Znikną na dłuższy czas bez śladu.

Pani M. W. Krzemieniec. Wzory do liworyzacji podajemy bardzo często. Niech Sz. Pani przejrzy uważnie wzory, dodawane do naszego pisma, a napewno znajdzie Pani odpowiedni. Nie przyjmujemy zamówień na inne wzory, jak pomieszczane w naszych pismach.

„Pieczywo domowe“

UCZY JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny“ we wszystkich odcieniach. Perelki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem“ (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziome i liliowe. Nowość sezonu: Krem poziomek (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCHA 31, m. 3.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.